pasje

Polski Związek Łowiecki

1923–2023

Nr 1(15)/2023

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECKI

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Explora & Fauneta

Tekst: Jacek Jarosz
Zdjęcia: Wesley Richards

Nie ulega wątpliwości, że model używanej broni zależy od rodzaju i warunków polowania. Oczywiste jest też, że zbudować sytuacji, w jakich może znaleźć się myśliwy lub eksplorator nowych przestrzeni, stawia broni szereg wymagania dotyczące praktycznej funkcjonalności. Do tego dochodzi też problem wagi i tak zwanej „celności" przydatnego w różnych okolicznościach, można mieć ze sobą na ramieniu...

Wszystkie te kwestie stały się tłoczkiem do pozyskiwania broni wszechstronnej. Broni, której jeden egzemplarz mógłby sprostać wszelkim, a w każdym razie wielu oczekiwaniom. Poświęcam tych poszukiwań jest nieustannie broń, którą zwierny kombinowaną, a która jest połączeniem różnych wcześniejszych układów luf gładkich i gwintowanych. Broń taka stała się dla mnie ideałem wszechstronności, a jednocześnie bardzo związanych z niemiecką kulturą łowiecką. Przekonałem wszechstronności broni starano się rozwiązać również poprzez stworzenie uniwersalnej luf, mogącej jednocześnie dobrze strzelać i śrutem, i kulami. W 1885 roku gubernator George Vincent Fosbery przedstawił projekt budowy lufy gładkiej, która na określonym odcinku przed wylotem posiadała odpowiednio naciąty gwint. Dzięki temu można było strzelać z niej zarówno śrutem, jak i pociskiem kulowym, który był wówczas zbliżony budową do naszej współczesnej brenekl. Nowy projekt umożliwiał oddawanie strzałów z dobrym pokryciem śrutem na dystansie ok. 40 metrów i celnych strzałów kulami na odległość 80–100 metrów. W 1886 roku firma Holland & Holland rozpoczęła produkcję broni z takimi lufami o nazwie Paradox, która nawiązywała właśnie do dziwności luf. Dla posiadłu cieczy należącego w różnych okolicznościach, można mieć ze sobą na ramieniu...

Zastosowanie pocisku basdyternego, jak i zmiana technologii produkcji luf, które zaczęły wypierać lufy dziewrowane, zrewolucjonizowały broni myśliwską, przede wszystkim zmniejszając znaczącą jej wagę. Uczyniły ją bardziej poręczną i nie wymagającą tak wielkiego wysiłku. Fizycznego podczas strzelania. Podstawowym kaliberm Explory stała się dwunastka, a broń była oferowana w pięciu wersjach luf.

Te ostatnie, jednolufowe, zdobyły nie uzyła uwadze zbliżywszy otsu łowieckiej, wybitnego eksploratora lodowych pustkowych, a i myśliwego, Norwega Roalda Amundsena (1872–1928), znanego z niezwykle ostatnie go, drobiazgowego planowania swoich ekspedycji. W tpizu 1916 roku zamówił u Wesley Richarda kilka karabinów Super Magnum Explora w kalibrze 12. Karabiny miały być zaopatrzone w zamki typu Anschütz (konstrukcja ta omówiłem w 12. numerze Pasji). Amunicja miała mieć 32-gramowe pociski typu LT bullet w metalowych gilzach, uszczelnione odpowiednio z pałeczkiem. Obowiązkowo miały zostać obudowany mosiężnym płaszczem. Tak zwany LT bullet pozwalał na oddanie 6 strzałów pasującym się w polu 10 x 6 cm na dystansie 300 jardów, czyli ok. 275 metrów. To jest bdzo celi. Wprowadzenie takiego pocisku wraz z prochem bezdymnym i innymi innowacjami spowodowało dalsze udoskonalenia Explory i doprowadziło firmę Wesley Richards do stworzenia Magnum Explory, a w zasadzie od razu do Super Magnum Explory. Tak pisał o niej w 1911 roku korespondent „Country Life": „Broń ta jest sama w sobie klasą wartość broni myśliwskiej. O ile Explora była bronią śrutową pozwalającą celnie strzelać pociskiem kulowym, to Super Magnum Explora miała się bronią kulową pozwalającą na dobry strzał śrutem w razie zaistnienia takiej konieczności".

Broń ta miała jednak problemach nie uzyła uwadze zbliżywszy otsu łowieckiej, wybitnego eksploratora lodowych pustkowych, a i myśliwego, Norwega Roalda Amundsena (1872–1928), znanego z niezwykle ostatnie go, drobiazgowego planowania swoich ekspedycji. W tpizu 1916 roku zamówił u Wesley Richarda kilka karabinów Super Magnum Explora w kalibrze 12. Karabiny miały być zaopatrzone w zamki typu Anschütz (konstrukcja ta omówiłem w 12. numerze Pasji). Amunicja miała mieć 32-gramowe pociski typu LT bullet w metalowych gilzach, uszczelnione odpowiednio z pałeczkiem. Obowiązkowo miały zostać obudowany mosiężnym płaszczem. Tak zwany LT bullet pozwalał na oddanie 6 strzałów pasującym się w polu 10 x 6 cm na dystansie 300 jardów, czyli ok. 275 metrów. To jest bdzo celi. Wprowadzenie takiego pocisku wraz z prochem bezdymnym i innymi innowacjami spowodowało dalsze udoskonalenia Explory i doprowadziło firmę Wesley Richards do stworzenia Magnum Explory, a w zasadzie od razu do Super Magnum Explory. Tak pisał o niej w 1911 roku korespondent „Country Life": „Broń ta jest sama w sobie klasą wartość broni myśliwskiej. O ile Explora była bronią śrutową pozwalającą celnie strzelać pociskiem kulowym, to Super Magnum Explora miała się bronią kulową pozwalającą na dobry strzał śrutem w razie zaistnienia takiej konieczności".

BULLENBEISSER

Wzkanniki, pijawki i frezy – psy do dawnych łowów

Tekst: Gabriela Lisowik-Kaczuba
Zdjęcia: Archiwum autorki

Psy do polowań przemysłowych towarzyszyły łowcom z państwa Polan już w X wieku. Również w innych krajach duże i silne psy w typie dogowatym były nieodzownymi pomocnikami wojennych, strzegących i łowczymi. Sięgając głębiej i średnio ich proweniencję nabałtny na silne, sprawne i bezkompromisowe psy myśliwskie na grubą zwierzynę, które w wielach nam bliższych mają się komponentami do uwierzytelnienia obrotnych i strzegących. O ich strukturze i wyglądzie dowiadujemy się z dawnych opisów, rycin, obrazów, a nawet monet.

Spośród nich na zamieszczoną niedbłą krótkowłosego, typowego przedstawiciela psów używanych do

MENSIL MAX

NIE ZAWIODĘ

Maksymalna moc bez recepty[3]

Poprawia erekcję – bez recepty![1]

Działa szybko i do 5 godzin[1]

Wydłuża przyjemność[2]

WWW.MENSIL.PL

CHCESZ BYĆ NIEZAWODNY DLA SIEBIE I DLA NIEJ?

MENSIL MAX, 50 mg, tabletki do rozgryzania i żucia.Skład: Jedna tabletka zawiera 50 mg syldenafilu w postaci cytrynianu. **Postać farmaceutyczna:** Tabletki do rozgryzania i żucia. **Wskazania do stosowania:** Produkt leczniczy MENSIL MAX jest wskazany do stosowania u dorosłych mężczyzn z zaburzeniami erekcji, czyli niezdolnością uzyskania lub utrzymania erekcji prącia wystarczającej do odbycia stosunku płciowego. W celu skutecznego działania produktu leczniczego MENSIL MAX niezbędna jest stymulacja seksualna. **Przeciwwskazania:** Nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą. Ze względu na wpływ syldenafilu na przemiany metaboliczne, w których biorą udział tlenek azotu i cykliczny guanozynomonofosforan (cGMP), nasila on hipotensyjne działanie azotanów. Przeciwwskazane jest zatem równoczesne stosowanie syldenafilu z lekami uwalniającymi tlenek azotu (takimi jak azotyn amylu) lub azotanami w jakiejkolwiek postaci. Jednoczesne stosowanie inhibitorów PDE5, w tym syldenafilu, i leków pobudzających cyklazę guanylową, takich jak riocyguat, jest przeciwwskazane, ponieważ może prowadzić do objawowego niedociśnienia tętniczego. Produktów leczniczych przeznaczonych do leczenia zaburzeń erekcji, w tym syldenafilu nie należy stosować u mężczyzn, u których aktywność seksualna nie jest wskazana (np. pacjenci z ciężkimi schorzeniami układu sercowo-naczyniowego, takimi jak niestabilna dławica piersiowa lub ciężka niewydolność serca). Produkt leczniczy MENSIL MAX jest przeciwwskazany u pacjentów, którzy utracili wzrok w jednym oku w wyniku niezwiązanej z zapaleniem tętnic przedniej niedokrwiennej neuropatii nerwu wzrokowego (ang. non-arteric anterior ischemic optic neuropaty, NAION), niezależnie od tego, czy miało to związek, czy nie miało związku z wcześniejszą ekspozycją na inhibitor PDE5. Nie badano bezpieczeństwa stosowania syldenafilu w następujących grupach pacjentów: pacjentów z ciężką niewydolnością wątroby, hipotonią (ciśnienie krwi <90/50 mm Hg), po niedawno przebytym udarze lub zawale serca oraz ze stwierdzonymi dziedzicznymi zmianami degeneracyjnymi siatkówki, takimi jak retinitis pigmentosa (niewielka część tych pacjentów ma genetycznie uwarunkowane nieprawidłowości fosfodiesterazy siatkówki). Stosowanie syldenafilu u tych pacjentów jest przeciwwskazane. **Podmiot odpowiedzialny:** PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI FARMACEUTYCZNEJ HASCO-LEK S.A. 51-131 Wrocław, ul. Żmigrodzka 242 E. Przed zastosowaniem należy zapoznać się z zatwierdzoną charakterystyką preparatu. Dalsze informacje dostępne na życzenie. 2023_0218

[1]Na podstawie Charakterystyki Produktu Leczniczego Mensil – pkt 5. ppkt.5.1. W badaniach klinicznych wykazano, że syldenafil wspomaga osiągnięcie erekcji w zakresie od 12-37 minut i do 5 godzin od zażycia.
[2]Syldenafil opóźnia wytrysk nasienia. Lew-Starowicz Z. Inhibitory fosfodiesterazy typu 5 – podobieństwa i różnice. Seksuologia Polska 2003; 1(2): 79-82.
[3]Mensil Max zawiera 50 mg syldenafilu w jednej tabletce, czyli najwyższą zawartość syldenafilu w jednej tabletce dostępną bez recepty wg. danych IQVIA Pharmascope 03.2021.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

W aktualnym numerze kontynuujemy cykl artykułów poświęconych historii Polskiego Związku Łowieckiego. Tym razem niuanse naszych dziejów trafnie opisał w swym artykule prof. Dariusz Gwiazdowicz.

W bieżących „Pasjach" pojawiają się nowe kody QR. Jeden jest związany ze współpracą z „Myśliwcem Krakowskim" – zeskanowanie kodu umożliwia dostęp do internetowej wersji tego magazynu. Z kolei na stronach internetowych krakowskiego i wrocławskiego Zarządów Okręgowych PZŁ znajdują się zakładki również umożliwiające wzajemne korzystanie z naszych pism. Zachęcamy do klikania i życzymy miłej lektury!

Jednak to nie koniec nowych kodów QR. Kolejny odsyła do kwartalnika „Pies". Natomiast czytelnicy „Psa" w najbliższym numerze swojego pisma znajdą kod QR prowadzący do naszych „Pasji". W ten sposób wzajemnie poszerzamy grono odbiorców obu magazynów i zwiększamy pole propagacji naszych idei. Głębokość związków wzajemnych łowiectwa i kynologii znakomicie pokazuje wydany w pięknej szacie graficznej przez Związek Kynologiczny w Polsce album „100 lat kynologii w wolnej Polsce". Blisko trzy czwarte tekstów ma związek z łowiectwem, ukazując pozytywną, wręcz niezbędną rolę łowiectwa w rozwoju kynologii. Jest to niewątpliwie znakomita promocja myślistwa. Miłośnicy psów zapoznając się z nim, mają szansę na inne, pozytywne spojrzenie na rolę łowiectwa w jego różnych aspektach. Wydanie albumu w wersji dwujęzycznej pozwala na poszerzenie grona odbiorców również na inne nacje, a tym samym na promocję polskiego łowiectwa poza granicami kraju.

Liczenie zwierzyny, czy w ogóle zwierząt wydaje się być przysłowiowym „gorącym kartoflem". Dlatego esej prof. Piotra Tryjanowskiego „Dane łowieckie – jakość, możliwości wykorzystania i pewne pomysły na przyszłość" poruszający różne aspekty uwarunkowań inwentaryzacji zwierząt z pewnością zwróci uwagę niejednego czytelnika. Zaznaczona tu rola myśliwych jest kolejną dobrą promocją łowiectwa, a całość jest napisana z właściwym dla autora poczuciem humoru.

Łowczy Okręgowy
Zarządu Okręgowego PZŁ
Piotr Skotnicki

Członek
Naczelnej Rady Łowieckiej PZŁ
Jacek Seniów

ZWIĄZEK KYNOLOGICZNY W POLSCE
Oddział we Wrocławiu
1948
rok założenia
1938

Zapraszamy na wystawy
Duo CACIB
23 i 24.09.2023

Stadion Olimpijski we Wrocławiu
5000 wystawców • 400 ras psów
zkwpwroclaw.pl
Wystawom towarzyszą prezentacje psów ras myśliwskich

zkwp.pl/pies.php?p=arch&l=
krakow.pzlow.pl/mysliwiec
wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje

spis treści

Polski Związek Łowiecki 1923-2023 **4**
Siodło, strzelba i muzeum **14**
Żuraw we Wrocławiu **20**
Dwa pokolenia **24**
Myśliwi, rycerze, zakony
– etos rycerski dawniej i dziś **40**
Czytać, nie czytać? **46**
Krzysztof Marceli Kadlec **48**
Explora & Fauneta **52**
Bullenbeisser. Wzłamniki, pijawki i frezy
– psy do dawnych łowów **58**
Z cywilami na łowach **64**
Dane łowieckie
– jakość, możliwości wykorzystania
i pewne pomysły na przyszłość **66**
Jak to z relikwiami św. Huberta było... **72**

ŻURAW

Dane łowieckie
– jakość, możliwości wykorzystania
i pewne pomysły na przyszłość

Siodło, strzelba
i muzeum

Pasje – Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Łowiecki
Wydawca: Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu
ul. Wodzisławska 10b, 52-017 Wrocław
tel.: 71 340 08 58, fax: 71 734 52 00
e-mail: zo.wroclaw@pzlow.pl
ISSN 2451-1641
Nakład: 1300 egz.
Kontakt do redakcji: pasje.pzl@gmail.com

Redaktor naczelny: Jacek Seniów
Rada Programowa: prof. Józef Nicpoń – przewodniczący, prof. Roman Kołacz, prof. dr hab. Tadeusz Trziszka (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu), mgr inż. Adam Płaksej, mgr inż. Grzegorz Pietruńko (nadleśniczy Nadleśnictwa Oława), dr Stanisław Han (Hasco-Lek), mgr Marian Samojluk, mgr Roman Rycombel, mgr inż. Piotr Skotnicki (Łowczy Okręgowy ZO PZŁ Wrocław)
Zdjęcie na okładce: Adobe Stock
Opracowanie graficzne: GRART
DTP: Tomasz Stasiak
Druk: KEA Wrocław

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych. Redakcja ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy, jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36, p. 4 Prawa prasowego) oraz interesem wydawnictwa. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość nieodpłatnego wykorzystania publikowanych materiałów na własnych stronach internetowych i stronach wydawcy. Przedruki z magazynu Pasje dozwolone są wyłącznie za uprzednią zgodą Wydawcy.

1923-2023 Polski Związek Łowiecki

Tekst: prof. dr hab. Dariusz J. Gwiazdowicz
Zdjęcia: Narodowe Archiwum Cyfrowe oraz ze zbiorów Leszka Szewczyka i Krzysztofa Mielnikiewicza

Gdy Polski nie było na mapach, naszych rodaków wypełniała bolesna tęsknota za utraconą ojczyzną – tę nostalgię znamy z twórczości romantycznych poetów. Wiele osób walczyło wtedy o utrzymanie narodowych wartości i tradycji, polskiego języka, a wśród nich byli także leśnicy i myśliwi. To oni już w 1820 roku założyli czasopismo „Sylwan", które ukazywało się w języku polskim. W pierwszych numerach poruszano problematykę zarządzania lasami, administracji leśnej zadawano trudne pytania, np. czy rząd powinien być właścicielem lasu, a ponadto przedstawiono monografię łosia i omawiano kwestię zwalczania wilków. Później w języku polskim zaczęły wychodzić następujące czasopisma łowieckie: na przyład w zaborze austriackim od 1878 roku ukazywał się „Łowiec", w zaborze rosyjskim od 1899 roku „Łowiec Polski", a w zaborze pruskim od 1907 roku „Łowiec Wielkopolski". Polscy myśliwi zrzeszali się w klubach i towarzystwach łowieckich, które były ostoją polskości. Warto w tym miejscu przypomnieć powstałe w zaborze austriackim Miejskie Towarzystwo Myśliwskie we Lwowie (1838), Towarzystwo Lisowickie (1871) czy Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie (1876), w zaborze pruskim Towarzystwo Łowcze (1860), Towarzystwo Myśliwskie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1873) oraz w zaborze rosyjskim Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Rozmnażania Zwierzyny Łownej i Prawidłowego Myślistwa (1889).

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku myśliwi zaczęli tworzyć nowe struktury łowieckie, które odpowiadały wcześniejszym podziałom dokonanym przez zaborców. W 1918 roku powstało Małopolskie Towarzystwo Łowieckie we Lwowie, rok później Polskie Towarzystwo Łowieckie w Warszawie oraz w 1920 roku Polski Związek Myśliwych w Poznaniu. Szybko zorientowano się jednak, że skoro odzyskaliśmy niepodległą ojczyznę, to nie ma potrzeby utrzymywania sztucznego podziału wykreowanego przez zaborców. Trzeba stworzyć jedną ogólnopolską organizację łowiecką. Pierwszą taką propozycję przedstawił prof. Janusz Domaniewski 11 czerwca 1921 roku na XX Zjeździe Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie. Miesiąc później odezwę w tej samej sprawie przedstawili myśliwi z Wielkopolski. Czytając dokumenty i doniesienia prasowe z tamtych lat, można odnieść wrażenie, że wszyscy byli zgodni co do potrzeby zjednoczenia, kłopot jednak tkwił w braku wspólnej wizji dotyczącej sposobu przeprowadzenia tego w praktyce.

Powołano komisję w składzie: Stanisław Lilpop, Herman Knothe, Feliks Rożyński i Jan Sztolcman, która miała przygotować projekt statutu oraz zorganizować zjazd zjednoczeniowy. Projekt opracowano bardzo szybko, gdyż w niespełna trzy tygodnie i 26 maja 1922 roku odbył się pierwszy zjazd zjednoczeniowy z udziałem 20 delegatów z ośmiu towarzystw łowieckich. Jak wspominają w relacjach prasowych uczestnicy, przebiegał on w spokojnej i konstruktywnej atmosferze. Zebrani jednomyślnie opowiedzieli się za jednolitą organizacją łowiecką, prezentowali jednak inną koncepcję zjednoczenia. Władysław Janta-Połczyński, reprezentujący Polski Związek Myśliwych w Poznaniu, wychodził z założenia, że do tej organizacji – jako ogólnopolskiej – można przyłączyć inne istniejące towarzystwa i koła łowieckie z całej Polski. Myśliwi z Polskiego Towarzystwa Łowieckiego uważali natomiast, że należy stworzyć nową organizację z siedzibą w Warszawie. Niestety nie osiągnięto porozumienia, a kolejne miesiące polaryzowały tylko zajmowane stanowiska i zaostrzały konflikt.

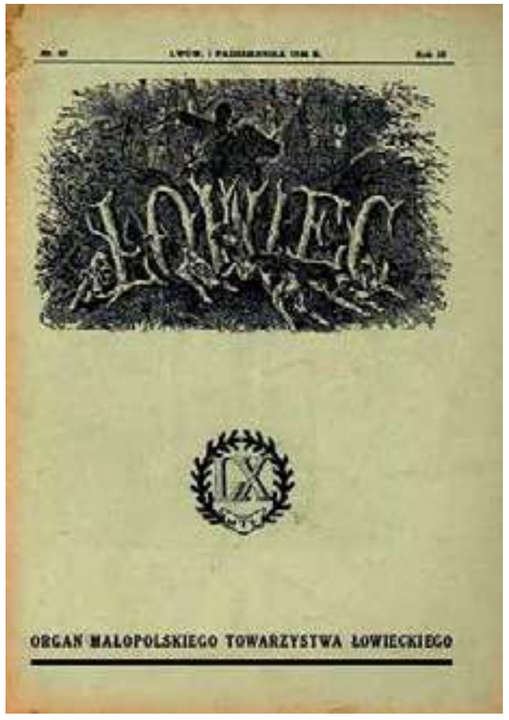

W czerwcu 1922 roku powołano nową komisję statutową, która na posiedzeniu 27 października 1922 roku, przy sprzeciwie poznańskich delegatów, przyjęła wstępne założenia dotyczące powołania Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich (CZPSŁ) z siedzibą w Warszawie. Na kolejnym zjeździe zjednoczeniowym, 6 stycznia 1923 roku, przedstawiono projekt statutu CZPSŁ. Przyjęto go większością głosów (przy braku akceptacji ze strony delegatów z Wielkopolski), a następnie wysłano do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Postanowieniem z dnia 20 kwietnia 1923 roku Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich został wpisany do rejestru stowarzyszeń i związków.

Walne Zgromadzenie Organizacyjne CZPSŁ odbyło się 9 lipca 1923 roku. Zatwierdzono wtedy poprawki wniesione do statutu przez MSW, podjęto decyzję o wznowieniu wydawania „Łowca Polskiego", ustalono wysokość składek, a przede wszystkim wybrano zarząd, na czele którego stanął Juliusz hr. Bielski. Za sprawę niezmiernie pilną uznano opracowanie nowej ustawy łowieckiej, gdyż ciągle obowiązywały trzy ustawy powstałe pod zaborami. W końcu 1923 roku CZPSŁ zrzeszał około 1600 myśliwych.

W czerwcu 1924 roku na sejmiku Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu zapadła decyzja o rozwiązaniu związku, a organizacje łowieckie w nim zrzeszone zachęcono do wstąpienia w szeregi CZPSŁ. Półtora roku później taką samą decyzję podjęli myśliwi zrzeszeni w Towarzystwie Łowieckim Zachodniej Małopolski w Krakowie. W ten sposób dobiegł końca trudny proces tworzenia jednego związku – polscy myśliwi zostali zjednoczeni. Nie przyszło to łatwo, ale wspólne dobro było ważniejsze niż ambicje grup lokalnych czy indywidualne aspiracje. Doceniono ogromną wartość wspólnoty myśliwych.

W 1929 roku nastąpiła zmiana statutu, a także nazwy na Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich (PZSŁ), ponieważ członkami tej organizacji były nie osoby fizyczne, lecz koła i stowarzyszenia. W 1931 roku PZSŁ zrzeszał ponad 100 kół, w których polowało około 4 tysięcy myśliwych. W 1936 roku doszło do kolejnej reorganizacji stowarzyszenia. Przekształciło się ono w związek osób fizycznych (myśliwych) i przyjęło nazwę Polski Związek Łowiecki. Przynależność była jednak dobrowolna, nie obowiązkowa. W grudniu 1937 roku liczba zrzeszonych w nim myśliwych wynosiła blisko 8 tysięcy, a dwa lata później – prawie 12 tysięcy. Nie było to szczególnie wiele, jeśli weźmie się pod uwagę 50 tysięcy wydanych kart łowieckich – dlatego też starano się zachęcić jak najwięcej myśliwych do wstępowania w szeregi PZŁ.

Walne zebranie PZSŁ, 1931 rok

Okres międzywojenny nie był łatwy, gdyż mimo stworzenia jednego związku ciągle uwidaczniały się animozje regionalne. Można je dostrzec chociażby w polemikach prasowych z tamtego okresu albo w przebiegu organizacji wspólnych wystaw łowieckich. Okres kryzysu gospodarczego skutkował biedą oraz nasileniem kłusownictwa. Przyjęte wówczas zasady gospodarki łowieckiej znacznie odbiegały od standardów Europy Zachodniej. Na przykład nie ustalano łowieckich planów hodowlanych, ani nie określono zasad selekcji, a do zwalczania drapieżników, w tym także gatunków zagrożonych, dość powszechnie używano potrzasków i zatrutej przynęty.

W czasie okupacji niemieckiej i radzieckiej w latach 1939–45 myśliwym odebrano broń oraz zakazano

Obrady Międzynarodowej Rady Łowiectwa i Ochrony Zwierzyny (fr. Conseil International de la Chasse et de la Conservation du Gibier, CIC) w Warszawie, 1934 rok

Generalny komisarz działu polskiego na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie w 1937 roku inż. Herman Knothe oprowadza Wielkiego Łowczego Rzeszy Hermana Göringa po pawilonie polskim

Pokot po polowaniu w Spale z udziałem Prezydenta RP Ignacego Mościckiego

polowań. Odbywały się jednak tajne posiedzenia Naczelnej Rady Łowieckiej, a myśliwi więzieni w obozach jenieckich (np. w Dorsten, Dössel, Murnau czy Woldenbergu) przygotowywali wystawy łowieckie, organizowali szkolenia i pisali podręczniki. Na szczególną uwagę zasługuje m.in. aktywność dr. Józefa Goetza, kpt. J.W. Kobylańskiego, ppłk. Władysława Rozwadowskiego i Wiesława Szczerbińskiego, późniejszego profesora Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, organizatora Katedry Gospodarstwa Łowieckiego.

Po II wojnie światowej polskie łowiectwo zaczęło się powoli odradzać, lecz niestety zmiany polityczne i ideologizacja życia codziennego nie ominęły myśliwych. Jeszcze w 1948 roku obchody 25-lecia PZŁ rozpoczęto mszą świętą, ale w późniejszych latach było zgoła inaczej. Marsz ku socjalizmowi deklarowali

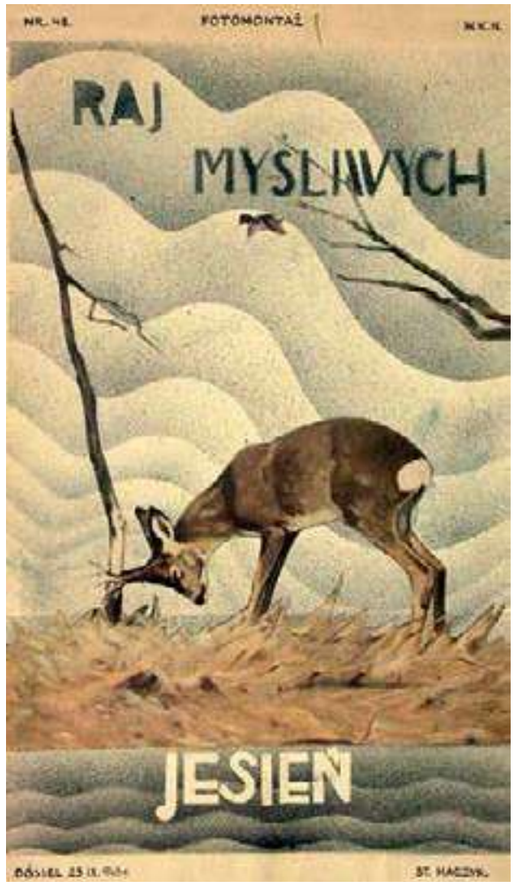

Przykłady działalności artystycznej i wydawniczej polskich myśliwych – jeńców niemieckich oflagów

Siedziba Polskiego Związku Łowieckiego przy ul. Nowy Świat 35 po zakończeniu II Wojny Światowej

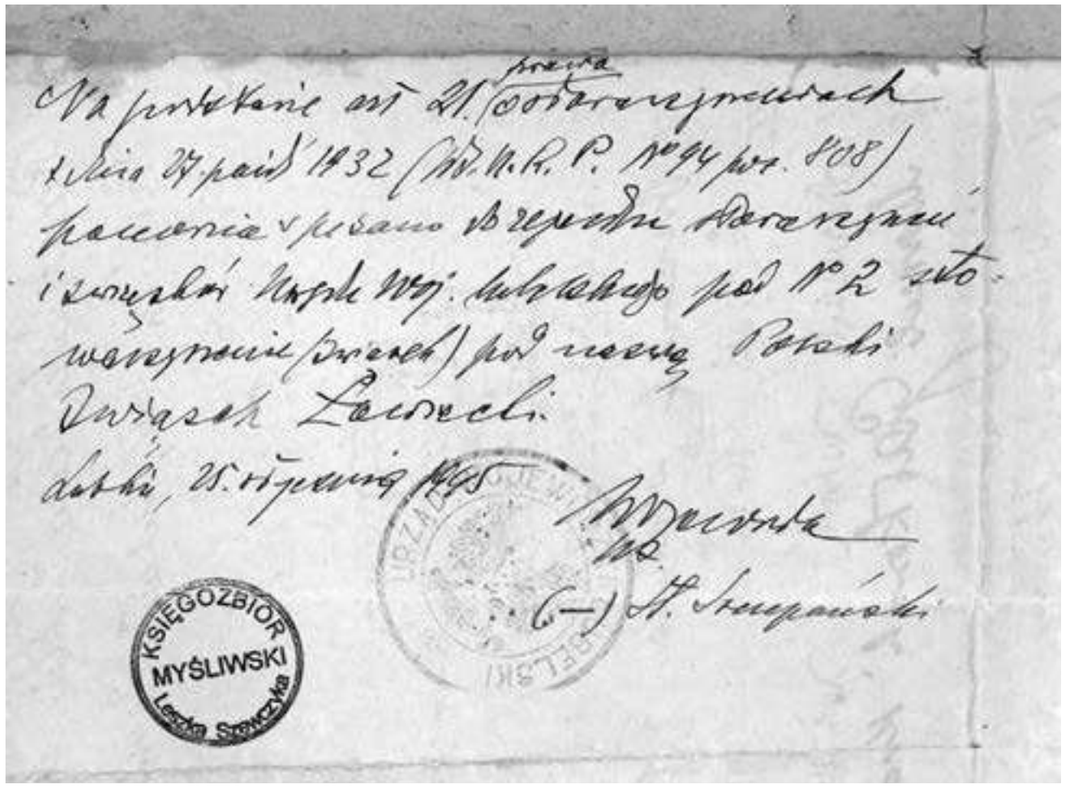

Pierwszy dokument rejestracyjny Polskiego Związku Łowieckiego. Lublin, 25 stycznia 1945 roku

Wpisanie Polskiego Związku Łowieckiego do rejestru Stowarzyszeń i Związków. Warszawa, 7 stycznia 1946 roku

również myśliwi, a honorowym prezesem PZŁ został marszałek Konstanty Rokossowski. W 1952 roku ukazał się dekret o prawie łowieckim, natomiast w prasie pojawiały się informacje, że łowiectwo nie jest już przywilejem burżuazji, lecz domeną ludu pracującego miast i wsi. W 1955 roku 23% członków PZŁ stanowili robotnicy, a 24% – chłopi. W czerwcu 1959 roku ukazała się ustawa o hodowli, ochronie zwierząt łownych i prawie łowieckim, która utrzymała kierunek nakreślony w dekrecie z 1952 roku. Stanowiła ona, że na obszarach należących do Lasów Państwowych ochronę i hodowlę zwierzyny prowadzą leśnicy, a myśliwi mają z nimi współpracować. Ponadto pojawił się zapis, że odszkodowania za szkody wyrządzane w uprawach i płodach rolnych przez dziki, jelenie i daniele będą wypłacane z budżetu państwa. W tym samym 1959 roku Minister Leśnictwa nadał Związkowi nowy statut.

To były trudne czasy dla myśliwych, nie tylko ze względu na sytuację polityczną w kraju. Doszło do głębokiego konfliktu pomiędzy PZŁ a Ministerstwem Leśnictwa. Obie strony zarzucały sobie m.in. brak kompetencji, a także kłusownictwo. Ciężkie zimy spowodowały drastyczny spadek liczebności zwierzyny drobnej. Coraz większe rozmiary przybierał problem szkód na terenach rolniczych, czego konsekwencją były gorące dyskusje na temat prawnych uregulowań w tym zakresie. Generalnie jednak w latach 60. ubiegłego wieku łowiectwo miało dobrą prasę. W ciągu roku publikowano około 200 artykułów dotyczących łowiectwa, a opinie w nich zawarte były zazwyczaj pozytywne dla myśliwych.

Powracający jak bumerang problem szkód łowieckich był główną osią sporów dotyczących łowiectwa i zaczynem prac nad nowelizacją ustawy. W emocjonalnych dyskusjach pojawiały się kolejne projekty. W 1973 roku uchwalono wreszcie przepisy, które częściowo zadowalały myśliwych, ale od tego czasu koła łowieckie zaczęły partycypować w wypłacie odszkodowań. Wielkość szkód w uprawach rolnych niestety sukcesywnie rosła i wiele kół łowieckich popadło w problemy finansowe. Generalnie jednak lata 70. ubiegłego wieku można określić jako spokojne czasy. Organizowano wiele wystaw łowieckich. Wizerunek myśliwego w mediach był nad wyraz pozytywny, do czego przyczyniła się kinematografia, podejmująca problematykę łowów w lubianych i często oglądanych komediach, jak np. „Nie ma mocnych" (1974) w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego czy w jednym z odcinków „Czterdziestolatka" w reżyserii

XII Krajowy Zjazd Delegatów Polskiego Związku Łowieckiego. Warszawa, Pałac Kultury i Nauki, 10.09.1972 rok

Poświęcenie sztandaru Polskiego Związku Łowieckiego, którego chorążym był łowczy wojewódzki z Wrocławia Wiktor Szukalski. Kraków, Bazylika Mariacka, 1993 rok

Uroczysta akademia w Warszawie z okazji 70-lecia Polskiego Związku Łowieckiego w 1993 roku

Jerzego Gruzy, zatytułowanym „W obronie własnej, czyli polowanie" (1977). Te zabawne filmy utrwalały jednak stereotypy o myśliwych jako grupie interesu, do której należeli dyrektorzy i polityczni dygnitarze polujący dla rozrywki.

Na początku lat 80. ubiegłego wieku Polskę dosięgnął głęboki kryzys gospodarczy, wybuchły niepokoje społeczne i powszechna krytyka władzy. Powstał NSZZ „Solidarność", a prasa krytycznie rozpisywała się o towarzyszach z PZPR. W tym kontekście zaczęto też krytykować samowolę „prominentnych myśliwych" i „polujących dygnitarzy". Myśliwych utożsamiano z wysoko umocowanymi działaczami partyjnymi. Przypisywano im nieprzestrzeganie zasad, a polowanie zwykle kojarzono z pijacką imprezą. Obraz, jaki wtedy kreowano, będzie niestety przywoływany przez długie lata. W tym czasie dochodziło także do konfliktów wewnątrz PZŁ, co wyraźnie było widać podczas posiedzenia NRŁ w lutym 1981 roku. W grudniu wprowadzono w Polsce stan wojenny, co skutkowało zawieszeniem działalności myśliwych i zmusiło ich do zdeponowania broni w komisariatach milicji. Zarząd Główny PZŁ zwrócił się do Ministra Spraw Wewnętrznych z prośbą o zwrot odebranej broni, aby możliwe było realizowanie planów łowieckich, redukowanie liczebności zwierzyny i tym samym ograniczanie szkód w uprawach rolnych. Prośbę częściowo spełniono – zwrócono około 50% broni. Trudna sytuacja gospodarcza w kraju odbiła się na kondycji finansowej wielu kół łowieckich. Blisko 70% obwodów łowieckich było deficytowych.

Na początku lat 90. nastąpiły duże zmiany polityczne, społeczne i gospodarcze, w wyniku czego rozpoczęto prace nad nowym ustawodawstwem. Od sezonu łowieckiego 1990/1991 myśliwi mieli więcej obowiązków, gdyż to na ich barki spadł obowiązek szacowania szkód. Z powodu problemów finansowych ograniczono zatrudnienie w strukturach PZŁ, a ponadto wstrzymano wszelkie inwestycje i remonty. Od 1990 roku wzrosły wydatki związane ze szkodami w uprawach rolnych, gdyż myśliwi byli zobowiązani do pokrycia 75% ogólnej kwoty odszkodowań. Dosyć szybko i sprawnie uchwalono ustawę o lasach, która ukazała się w 1991 roku, natomiast prace nad nową ustawą Prawo łowieckie ciągnęły się latami. Opracowywane zapisy budziły dużo emocji, a PZŁ był często krytykowany zarówno przez administrację Lasów Państwowych, jak i Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. Z ust niektórych polityków padały propozycje zlikwidowania PZŁ jako „reliktu epoki stalinowskiej". W końcu udało się osiągnąć kompromis i w 1995 roku nowa ustawa łowiecka została podpisana.

Początek XXI wieku jest dla polskiego łowiectwa dość trudny, gdyż myśliwi muszą mierzyć się zarówno z problemami i konfliktami wewnątrz braci łowieckiej, jak i zagrożeniami zewnętrznymi kreowanymi przez aktywistów, niektórych dziennikarzy oraz polityków. Odczuwalny jest nie tylko kryzys wizerunkowy, ale i coraz dotkliwiej zauważalny jest brak wizji, strategii rozwoju PZŁ. Taka sytuacja rodzi obawy o przyszłość, wywołuje niepokój o losy łowiectwa.

Analizując 100-letnią historię PZŁ wyraźnie widać, że wszystkie trudne chwile, kryzysy, problemy i konflikty były rozwiązywane dzięki pracowitości, zaangażowaniu i jedności wszystkich myśliwych. Dziś jest nas prawie 130 tysięcy. Jesteśmy w różnym wieku, reprezentujemy najróżniejsze zawody, mamy zróżnicowane poglądy polityczne i religijne, może także odmienną wizję rozwoju łowiectwa, ale właśnie w tym zróżnicowaniu tkwi nasza siła. Łączą nas wspólne cele – dobro przyrody i rozwój łowiectwa. Dlatego podejmujmy wszelkie inicjatywy służące jednoczeniu naszego środowiska. Nie bójmy się dyskusji i krytyki, a jeśli jest ona uzasadniona, to korzystajmy z niej i poprawiajmy to, co złe. Warto w tym miejscu przypomnieć afrykańskie przysłowie, które mówi: „Jeśli chcesz iść szybko, idź sam, ale jeśli chcesz iść daleko, to chodźmy razem". A my chcemy zajść daleko w przyszłość, dlatego powinniśmy być silną, dobrze funkcjonującą, zgraną grupą ludzi, którzy podążają w tym samym kierunku.

Uroczysty koncert w studiu Polskiego Radia z okazji 90-lecia Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie w 2013 roku

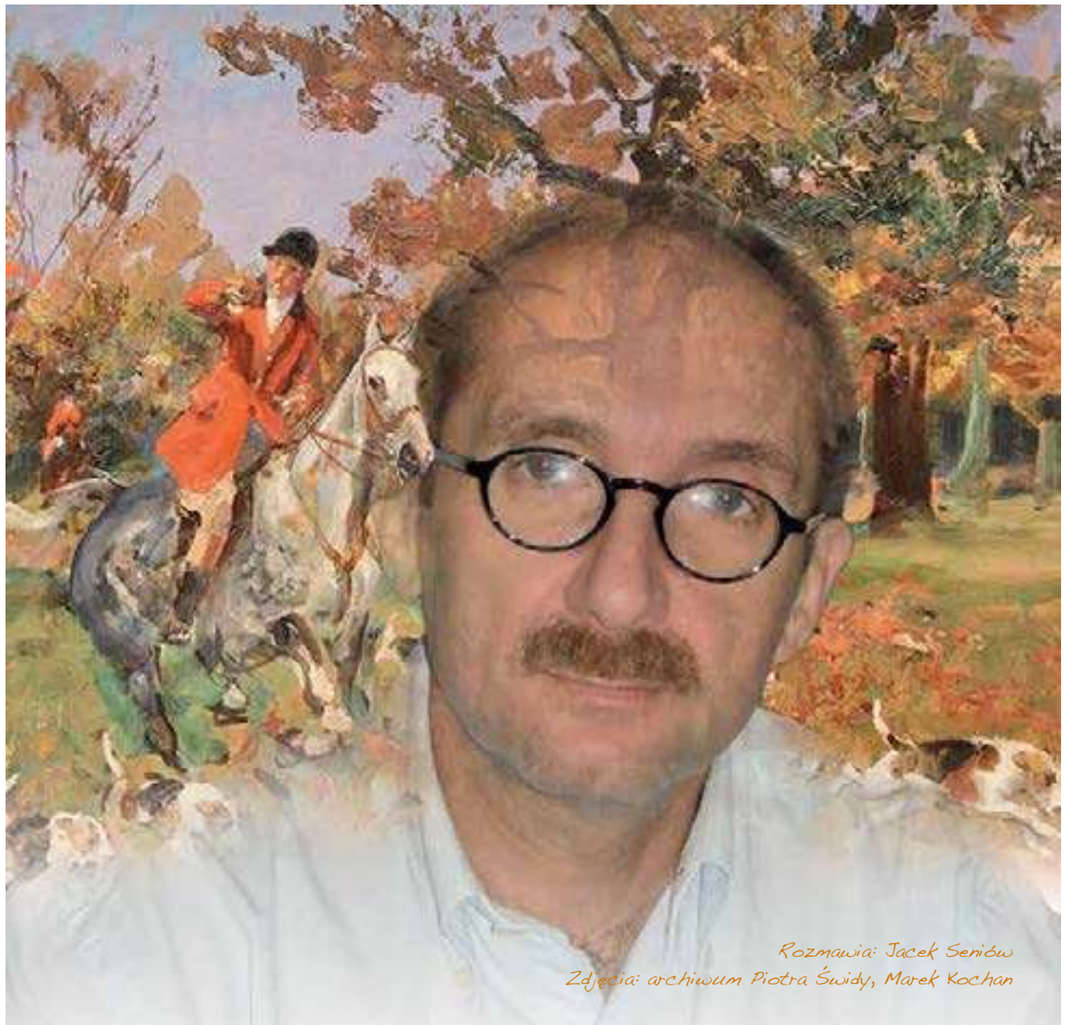

Rozmawia: Jacek Seniów
Zdjęcia: archiwum Piotra Świdy, Marek Kochan

Rozmawiam z Panem Piotrem Hubertem Świdą, wieloletnim dyrektorem Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa, a obecnie zastępcą dyrektora Muzeum Łazienki Królewskie ds. łowiectwa i jeździectwa w Warszawie. Muzeum, które z uwagi na połączenie tematyki łowieckiej i jeździeckiej jest unikatem na skalę europejską.

– Jakie dukty doprowadziły Pana do Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Łazienkach Królewskich?

– Moje życiowe pasje to koń i polowanie, do których z czasem dołączyło Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa, bo po prawie 40 latach pracy tutaj inaczej skwitować tego nie można. Przez całe studia, a i później, bo w czasie mojej pierwszej pracy po studiach – w Państwowej Stadninie Koni Rzeczna – moim partnerem brydżowym była najczęściej Hanna Łysakowska, później długoletnia kierowniczka działu hipologii MŁiJ. Kiedy rozpoczęła tam pracę, poinformowała mnie o poszukiwaniu przez Muzeum pracownika do części jeździeckiej. Na moje pytanie, co miałbym tam robić, odpowiedziała: zostaniesz dyrektorem. I tak minęło mi prawie 40 lat pracy, w tym ponad ćwierć wieku na stanowisku dyrektora MŁiJ (trzeba w tym miejscu dodać, że MŁiJ od kilku lat jest oddziałem Muzeum Łazienki Królewskie). W tak zwanym międzyczasie trochę uzupełniłem wykształcenie na studiach podyplomowych: z muzealnictwa na Wydziale Historycznym UW i menedżerskie w zakresie kultury w Kolegium Gospodarki Światowej SGH.

Siodło, strzelba i muzeum

Jednym z istotniejszych wydarzeń w życiu Muzeum w tym czasie była nominacja MŁiJ do Europejskiej Nagrody Muzeum Roku. Wiązało się to z wizytą przedstawicieli organizatora, tj. Europejskiego Forum Muzeów (przybyły wówczas dwie dyrektorki muzeów: duńskiego i brytyjskiego). Potem miał miejsce wyjazd do Pizy we Włoszech na prezentację finałową, która miała formę rozmowy z wizytatorkami przed teatralnym audytorium złożonym z reprezentantów kilkudziesięciu europejskich muzeów. Wszystko to działo się w 2001 roku. Kolejne ważne wydarzenie to wzięcie w użytkowanie przez MŁiJ części budynku Stajni Kubickiego i stworzenie tam Powozowni im. Zbigniewa Prus-Niewiadomskiego, która po kolejnych modernizacjach oraz rozbudowie działa do dziś. Inny interesujący event to coroczne – jak je nazwał wtedy redaktor naczelny miesięcznika „Koń Polski" – pałacowe uroczystości święta hubertowskiego w Łazienkach Królewskich połączone z „Konkursem Szlachetnej Sztuki Wabienia Jelenia". Byliśmy ich pierwszymi organizatorami w takiej formie w Polsce, łącząc je z pokazami konnymi. Starałem się, by wiodący wątek tego wydarzenia – jeździecki lub łowiecki – pojawiał się naprzemiennie co drugi rok. Po paru latach brak środków finansowych i wsparcia z zewnątrz zmusił nas do zaprzestania tego projektu.

Jeśli chodzi o działalność typowo muzealniczą, to muszę pochwalić się nagrodą Sybilli w konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku 2003. Kierowane przeze mnie MŁiJ otrzymało I nagrodę w kategorii Wystawy przyrodnicze, techniczne i medyczne za organizację wystawy „Hej! Gerwazy! Daj gwintówkę! Sztuka rusznikarska XVI–XX wieku".

Do dziś nie wierzę, że ja, prosty zootechnik od koni, miałem okazję współpracować z tak wieloma niezwykłymi osobami poprzez udział w Radzie Naukowej Ośrodka Kultury Leśnej w Gołuchowie, w Radzie do Spraw Muzeów przy Ministrze właściwym do spraw kultury, w Jury konkursu ministra ds. kultury na Najważniejsze Wydarzenie Muzealne Roku Sybilla. Byłem też wykładowcą na Podyplomowych Studiach Muzealniczych w Instytucie Zabytkoznawstwa i Konserwatorstwa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz członkiem komisji do spraw muzeów rejestrowanych przy Ministrze właściwym do spraw kultury. Zasiadałem od jednej do kilku kadencji w składzie różnych Rad Muzeów: przy Muzeum Regionalnym w Kozienicach, przy Muzeum Zamoyskich w Kozłówce, przy Muzeum Kolejnictwa w Warszawie i przy Muzeum Narodowym w Kielcach. Podsumowaniem tych wszystkich działań w ramach moich trzech omawianych pasji są: odznaka „Zasłużony Działacz Kultury", Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", Srebrny Medal za Długoletnią Służbę, Złoty Krzyż Zasługi oraz Honorowa Złota Polska Odznaka Jeździecka, Medal Świętego Huberta, Brązowy, Srebrny i Złoty Medal Zasługi Łowieckiej oraz odznaka Zasłużony dla łowiectwa warszawskiego.

Zamiłowanie do polowania, tak jak i koni, otrzymałem chyba w genach. Polował mój dziadek Tadeusz Świda i ojciec Andrzej Świda, który wprowadzał mnie w łowiectwo i jeździectwo już w moich czasach szkolnych. Najstarszym udokumentowanym wizualnie przodkiem związanym z łowiectwem był Olgierd Świda, odpowiedzialny za łowiectwo u Radziwiłłów w ordynacji nieświeskiej. Tak na marginesie, to ja urodziłem się 3 listopada, w dniu św. Huberta. Swoją aktywność łowiecką realizowałem jako myśliwy i członek zarządu w kole łowieckim Akteon w Warszawie, jednym z większych w Polsce (5 obwodów, 120 członków). Tak jak czynili to moi przodkowie i ja starałem się przekazać rodzinne tradycje i pasje moim synom. Najstarszy Jan ma za sobą pierwsze doświadczenia – jeszcze jako junior – w zawodach jeździeckich w konkurencji ujeżdżenia. Teraz jest nawet zawodowo związany z łowiectwem i reprezentuje trzecie pokolenie Świdów w warszawskim Akteonie. Średni syn Jakub jeździł konno jeszcze w szkole śred-

Pokot po polowaniu na dziki w lasach w ordynacji Nieświeskiej w styczniu 1927 roku. Stoją od lewej: Hawsowicz, Hensol, Olgierd Świda, ks. Czetwertyński, ks. K. Radziwiłł, ks. H. Radziwiłł i arcyksiążę Karol Habsburg

Tadeusz Świda (pierwszy z prawej) ze swoim szwagrem Kazimierzem Pawłowskim (drugi z prawej) podczas polowania w sierpniu 1939 roku.

Trzech synów Piotra Świdy. Od lewej: Jan, Jakub, Gustaw

niej, teraz też jest w Akteonie. Najmłodszy Gustaw już myśli o sposobieniu swojego syna, a mojego wnuka Huberta. Mam nadzieję, że „sztafeta pokoleń" w realizowaniu tych dwóch pasji w naszej rodzinie zawsze będzie żywa, dając przewagę raz jednej, a raz drugiej.

– Dusza zbiorów, a duch przestrzeni, w której eksponaty się znajdują – proszę teraz o kilka zdań na temat lokalizacji muzeum.

– Wydaje się, że sama lokalizacja Muzeum jest idealnie związana z historią tego miejsca. W średniowieczu na łazienkowskich gruntach książęta mazowieccy utrzymywali spory zwierzyniec, użytkowany również do polowań. W latach 80. XVII wieku marszałek wielki koronny Stanisław Herakliusz Lubomirski zbudował pawilon z łaźnią, od której wzięła się nazwa całego zespołu pałacowo-ogrodowego. Kolejni właściciele, od 1764 roku Stanisław August Poniatowski, od 1817 roku carowie rosyjscy, a w końcu Państwo Polskie łączyli Łazienki z końmi. W 1927 roku wybudowano tu hipodrom uznawany za jeden z najpiękniejszych tego typu obiektów w Europie. Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa istnieje oficjalnie od 1 lipca 1983 roku, zajmując zbudowane w latach 1826-1828 Koszary Kantonistów oraz Stajnie Kubickiego pochodzące z tych samych lat. Sam pomysł powstania takiego wyjątkowego muzeum dojrzewał już w latach 70. XX wieku. W ogromnej mierze ojcem takiej lokalizacji był prof. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie.

Jedną z pierwszych moich dyrektorskich decyzji była likwidacja wcześniej istniejących tam wystaw stałych – wtedy tylko łowieckich, prezentujących w głównej mierze trofea. Nie była ona z początku pozytywnie przyjęta przez środowisko, zwłaszcza to związane z Polskim Związkiem Łowieckim. Tworząc nowe ekspozycje kuratorzy dostali zadanie przygotowania scenariuszy pokazujących posiadane zbiory łowieckie w układzie biotopów. To do nich została zaplanowana odpowiednia scenografia. Wśród oglądających nasze zbiory były głównie dzieci i młodzież szkolna (myśliwi stanowili wyraźną mniejszość). Ich nie interesowały trofea myśliwskie. W oparciu o nowe ekspozycje można było przygotować programy dydaktyczne współgrające z programami szkolnymi w kilku przedmiotach i grupach wiekowych. Wszystko to zrobiono z wykorzystaniem prawie tych samych zbiorów, co wcześniejsze ekspozycje, no i myśliwi bez trudu odnajdywali tam również interesujące ich wątki. Tak została zachowana dusza zbiorów w przestrzeniach o innym duchu, choć sam układ architektoniczny pomieszczeń narzucał pewne ograniczenia. To m.in. spowodowało po jakimś czasie konieczność przenosin i zmian w wystawach.

Niestety, w środowisku muzealników, włącznie z łazienkowskimi i np. tymi z Muzeum Zamkowego w Pszczynie, nie ma chęci przywoływania historii tych miejsc jako „ogrodów zwierząt". Próby zrozumienia i uznania prowadzonej tam wcześniej gospodarki, w tym również łowieckiej, nie mają dużych szans. MŁiJ położone w Łazienkach było przez kilka lat swoistym ewenementem, które próbowało wykorzystać choć trochę magiczność miejsca. Czy w nowej formule organizacyjnej będzie to kontynuowane, czy wręcz przeciwnie, pokaże życie… Choć ja akurat optymistą nie jestem...

Zespół muzyki myśliwskiej par force „Trompes de Pologne"

– Czy to stawia jakieś odrębne wymagania pracownikom Muzeum?

– Pracownikom to raczej nie, ale kandydatom na pracowników już tak. Uważałem, że dobry kandydat powinien ukończyć studia wyższe przyrodniczo-łowieckie, ewentualnie biologię, leśnictwo czy ochronę przyrody. Ideałem byłby polujący przyrodnik. Ale to tylko teoria. W polskich realiach finansowych na ogłoszenie typu „polujący z wyższym wykształceniem" nikt się nie zgłaszał. Najlepsze, co mogło się trafić, to niepolujący leśnik. Płeć nie miała znaczenia. Do działu hipologii szukaliśmy zootechnika z pracą magisterską na temat koni. Potem wszystkim, już w czasie trwania stosunku pracy, chcieliśmy proponować podyplomowe studia muzealnicze. Szczytem szczęścia byłaby osoba nie tylko znakomicie przygotowana merytorycznie do pracy, ale również interesująca się historią i mająca choć trochę duszę artysty.

– A jakimi cymeliami może poszczycić się Muzeum?

– Myślę, że nie ma jakiegoś wymiernego sposobu wyceny naszych zbiorów i warto spytać o to przede wszystkim kuratorów zbiorów. Dla mnie takim cymelium w zbiorach hipologicznych jest regulaminowa metalowa miarka do nakładania koniom owsa, używana w polskiej kawalerii okresu międzywojennego. Dostałem ją w darze od mojego pierwszego dyrektora Jerzego Jaworskiego, kierującego wówczas Państwową Stadniną Koni w Kozienicach, przedwojennego jeszcze absolwenta Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. W mojej ocenie wartość samego obiektu jest powiązana z osobą darczyńcy. Z najnowszych natomiast nabytków muszę wymienić pojazd konny – brek pochodzący z ordynacji Zamoyskich i wytwórni Romanowskiego w Warszawie. Jest to jedyny znany obecnie w Polsce obiekt z tej wytwórni. Zakupiony został w Stadninie Koni w Białce. Z tego właśnie działu pokazuję dwa eksponaty, ponieważ tam właśnie zaczynałem muzealną karierę i ten dział jest mi najbliższy. Ze zbiorów sztuki to chyba najcenniejsza jest, rzadko pokazywana ze względów konserwatorskich, sporych rozmiarów akwarela pędzla Juliana Fałata „Polowanie w Nieświeżu".

Jeśli chodzi o zbiory przyrodniczo-łowieckie, to mamy rzeczywiście ciekawostkę. Monstrualnych rozmiarów wieniec jelenia wiszący w gabinecie dyrektorskim i tym samym nieudostępniany publicznie. Wieść niesie, że wieniec został odnaleziony po II

Brek pochodzący z ordynacji Zamoyskich i wytwórni Romanowskiego w Warszawie

wojnie światowej. Były próby pokazania go na jakiejś międzynarodowej wystawie łowieckiej, ale pewien sędziwy sędzia zagraniczny nie zgodził się na to, mówiąc, że już go widział i opowiedział następującą historię: wieniec ponoć pochodzi od byka, prawdopodobnie z Węgier, który miał być krzyżówką jelenia europejskiego i marala, choć członkowie międzynarodowej komisji wyceny trofeów CIC sugerowali bardziej krzyżówkę z wapiti. Pod koniec lat 90. ubiegłego wieku podejmowano próby badania porównawczego DNA tego wieńca w Muzeum Zoologii PAN w Warszawie. Oczywiście dostępnymi wówczas metodami, ale nie dały one żadnego oczekiwanego efektu ze względu na złej jakości materiał biologiczny. Za jakiś czas może warto wrócić do tematu, licząc na postęp w jakości badań. To może być rekord świata wieńców jeleni europejskich, jeśli badania DNA umożliwią weryfikację.

W zbiorach bibliotecznych wyjątkowe jest „Myślistwo Ptasze" Mateusza Cygańskiego. To dzieło z XVI wieku traktujące o wszystkim, co wówczas do „ptasznictwa" w Polsce należało, wymieniające między innymi rodzaje i gatunki ptaków krajowych. Jest to reprint książki z XVI w., wydany w Warszawie w 1842 r. z dodaniem przedmowy, objaśnień i przypisów Antoniego Wagi. Mateusz Cygański wymienia gatunki ptaków według porządku alfabetycznego nazywając je „narodami". Jest to pierwsze w języku polskim dzieło poświęcone również sokolnictwu.

– Czy łowiectwo i jeździectwo wynika z potrzeby ducha i tradycji, czy jest może realizacją snobistycznego ego?

– A może to przede wszystkim przyjemność i sposób na życie? Obie te dziedziny były przez całe moje życie podstawowymi pasjami hobbystyczno-zawodowymi, a ich wybór wynikał nie z jakiegoś tam wyrachowania, a raczej z atawistycznej przypadłości odziedziczonej po przodkach. Wszystko, co w tej materii robiłem, robiłem z zamiłowania. Jak to wygląda u innych, nie wiem. Myślę, że różnie. Ponieważ starsi nosiciele tradycji odchodzą, to chyba szala przechyla się na rzecz przyjemności, ewentualnie zabarwionej wspomnieniami rodzinnej tradycji. Jeśli snobizmem jest trud realizacji tych pasji, łowiectwa i jeździectwa,

to wymaga on dużej wytrwałości i sporych poświęceń, co sugerowałoby pozytywny snobizm. Jest też niestety coraz więcej osób, dla których to tylko konieczna „przykrywka", dzięki której mogą sobie postrzelać i „pokowboić".

– Czy wizyta w Muzeum może w jakiś sposób ukształtować współczesnego jeźdźca lub myśliwego?

Wizyta w Muzeum może być inspiracją dla młodego człowieka, choć trudno mi wyobrazić sobie taki stan rzeczy bez fizycznych doświadczeń z jeździectwem i łowami. Taka wizyta może być uzupełnieniem i to w obu dziedzinach. Życie uczy, że znacznie ciekawszym człowiekiem jest ten z solidniejszą wiedzą. My tylko stwarzamy warunki, aby umożliwić tej wiedzy poszerzenie. Nie każdy ma być, czy może być, myśliwym albo jeźdźcem. Ważne, by zetknąć się, poznać te aspekty istotne dla naszej narodowej kultury i tradycji. Jeśli jako muzeum to zainicjujemy, to tym samym spełnimy naszą rolę edukacyjną. Oczywiście obok roli zachowywania dla potomnych elementów naszego materialnego dziedzictwa. Bezpośredni kontakt z materialnymi artefaktami bywa kontaktem magicznym.

– Patrząc na to, co się dzieje w polskich mediach i również w muzealnictwie w odniesieniu do współczesnej kultury łowieckiej i jeździeckiej, a już szczególnie do sztuk pięknych z nimi związanych, zauważam pewną niepokojącą prawidłowość. Nie zauważamy sztuki współczesnej. Najczęściej kończymy na wspomnianym tu Julianie Fałacie. Czasami, ale niezwykle rzadko ktoś się przebije do Stanisława Rozwadowskiego, Ludwika Maciąga czy Andrzeja Strumiłły, a przecież wokół nas są współcześni malarze, graficy, rzeźbiarze, twórcy sztuki zwanej użytkową, którym motywy animalistyczne, jeździeckie czy kynologiczne są bliskie. Tworzą aktualny obraz tych tematów. Co innego widzimy w Stanach, Anglii i reszcie Europy. Dlaczego tak się dzieje?

– Sztuka współczesna zawsze ma trudniej. Ostatecznie wszystko weryfikuje czas i rynek, a to co zostanie, ma szansę trafić do muzeum. Faktycznie, współczesna kultura łowiecka jest w przekazie masowym w Polsce raczej trudno dostępna, a przecież wiemy o jej istnieniu. Jest to chyba pokłosie krytycznego odbioru łowiectwa w ogóle oraz organizowania większości działań o tematyce łowieckiej zwłaszcza lub tylko dla „naszych" odbiorców. Wystarczy popatrzeć na zdjęcia to dokumentujące. Znamienita większość uczestników różnych wydarzeń jest w myśliwskich mundurach. Przekonanych nie trzeba przekonywać. Trzeba jednak uczciwie oddać fakt podejmowania prób zmiany tej rzeczywistości. Było to celem także wielu moich działań, choćby podczas organizacji międzynarodowego sympozjum „Łowiectwo w tradycji i kulturze" w Pułtusku 1994, które było praktycznie pierwszym Kongresem Kultury Łowieckiej, mimo że jeszcze bez tej nazwy. Sympozjum odbyło się przy początkowym dużym oporze ówczesnych władz PZŁ. Zaprosiliśmy do współpracy prelegentów na co dzień nie mających nic wspólnego z łowiectwem. Pomógł w tym honorowy patron i prowadzący obrady prof. Andrzej Rottermund (wieloletni dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie). Okazało się, że jest w historii i obecnie wiele znanych postaci, które mają w dorobku prace związane z tematyką łowiecką. Według mnie zapraszanie takich osób to znakomite posunięcie... Ale przy organizacji kolejnych kongresów, w większości których też uczestniczyłem, do tego faktycznie pierwszego nawet nie nawiązywano... Na niektóre nie byłem nawet zapraszany i to też o czymś mówi. Ponownie byłem potrzebny przy III KKŁ w Jachrance, co jest uwidocznione w okazjonalnym wydawnictwie. Każda zmiana władzy, w tym i łowieckiej, powoduje jakieś przerwanie ciągłości, nawet w KKŁ, więc ciekaw jestem, czy i kiedy odbędzie się kolejny kongres (teraz chyba V)? Wielokrotnie odmawiały nam współpracy osoby prawne i fizyczne tylko z powodu słowa łowiectwo w naszej nazwie. Wiele przyczyn złożyło się na taki stan rzeczy, włącznie z próbami systemowego ujednolicenia prawie wszystkiego z ubiorem włącznie. To wszystko jest coraz dalej od pojęcia tradycyjnego łowiectwa. I nie należy definiować tradycji uznaniowo w zależności od bieżących potrzeb, traktując tym samym interlokutorów niezbyt pochlebnie. Jest zasada, że im większa wolność, tym większa odpowiedzialność za każdy czyn i słowo, ale i odwrotnie. Może tu jest przyczyna wielu kłopotów. Ale przemysł związany z łowiectwem ma się zupełnie dobrze, choć i tu życie, poprzez sprzęt i akcesoria choćby, wymusza odejście od tradycyjnego łowiectwa, ale to chyba normalne.

Jeśli chodzi o łowiectwo, to nawet muzyka z nim związana była u nas do niedawna lekceważona. Przykładem jest powstały przy MŁiJ zespół muzyki myśliwskiej par force (konne polowanie), dziś używający nazwy Trompes de Pologne, który po wielu latach działalności został wreszcie „zaakceptowany" jako część polskiej kultury łowieckiej.

Natomiast z jeździectwem i końmi sytuacja jest zupełnie odmienna. Przede wszystkim ten obszar aktywności nie wywołuje niczyjego sprzeciwu. Jeśli natomiast mowa o ujednoliceniu, dotyczy ono tylko tych sfer, gdzie chodzi o bezpieczeństwo i to wszystkich uczestników. Dlatego dużo więcej i łatwiej można tu znaleźć współczesnych twórców z uznaną już pozycją na rynku sztuki. „Przemysł koński", bo tak to można nazwać, cały czas się zmienia, rozwija i to będzie postępować.

– Dziękuję za rozmowę.

ŻURAW
we Wrocławiu

Tekst: Ryszard Krynicki, Krzysztof Krukowski
Zdjęcia: Archiwum Kł „Żuraw" Wrocław

Koło Łowieckie Żuraw obchodziło w ubiegłym roku 70. urodziny, warto więc z tej okazji przybliżyć nieco jego historię i charakterystykę. Żuraw został założony przez kilkunastu pasjonatów w oparciu o dekret o prawie łowieckim z dnia 29.10.1952 r. wprowadzony zarządzeniem Ministra Rolnictwa i Leśnictwa i zarejestrowany jako koło działające w województwie wrocławskim. Do pierwszego zarządu wybranego w listopadzie 1952 r. weszli: Jan Klepa jako prezes, Władysław Bazylak jako łowczy, Bolesław Żmuda jako skarbnik oraz Tadeusz Maciejewski pełniący funkcję sekretarza. W Komisji Rewizyjnej znaleźli się natomiast: Mieczysław Małecki – przewodniczący oraz Józef Olejniczak i Józef Kowalski – członkowie. Obecnie w Zarządzie wybranym w 2015 r. zasiadają: Ryszard Krynicki jako prezes, Igor Krynicki jako łowczy, Bogumił Puk jako skarbnik oraz Maciej Rudyk pełniący funkcję sekretarza. W skład Komisji Rewizyjnej wchodzą: Stefan Muter – przewodniczący oraz Jan Krawczyszyn i Mateusz Makowczyński – członkowie.

Obwody Kł Żuraw

W początkowych latach istnienia (1952–1954) Kł Żuraw nie dysponowało żadnym obwodem łowieckim. Pierwszy obwód łowiecki nr 3 w okolicach Żmigrodu o powierzchni około 7,5 tys. ha koło wydzierżawiło w 1954 r. na 10 lat, czyli do 1964 r. Po upływie dekady dotychczasowy obwód łowiecki został podzielony na dwa mniejsze: obwód nr 18 o powierzchni 4110 ha, który został wydzierżawiony Żurawiowi na dalsze 10 lat (do 1974 r.), oraz obwód nr 19 o powierzchni 3480 ha, który wydzierżawiono na 10 lat Kołu Łowieckiemu Łowiec we Wrocławiu. By zrekompensować stratę niemal 50% terenu, Kł Żuraw wydzierżawiło w 1964 r. drugi obwód łowiecki – nr 344 – o powierzchni około 4,5 tys. ha znajdujący się w okolicach Ziębic, a częściowo nawet w granicach miasta. W obu tych obwodach możemy prowadzić gospodarkę łowiecką do 2032 r. Obecnie koło dzierżawi dwa obwody łowieckie: nr 173 na terenie okręgu wrocławskiego (okolice Żmigrodu) o powierzchni 4185 ha, w tym 798 ha powierzchni leśnej oraz nr 341 na terenie okręgu wałbrzyskiego (okolice Ziębic) o powierzchni 4926 ha, w tym 472 ha powierzchni leśnej.

Żuraw w parze ze Żbikiem

W 1972 r. Koło Łowieckie Żuraw połączyło się z nieposiadającym własnego obwodu łowieckiego Kołem Łowieckim Żbik, działającym przy Zakładach Metalowych Predom-Polar we Wrocławiu. W skład Zarządu Żbika wchodzili wówczas: Jan Pluciński (prezes), Wojciech

Janowicz (łowczy), Henryk Czop (skarbnik) i Józef Omilian (sekretarz). Władzami nowego koła, które przyjęło nazwę Żuraw, zostali: Józef Omilian – prezes, Wojciech Janowicz – łowczy, Józef Grząd – skarbnik oraz Stefan Muter – sekretarz. Szczególne słowa uznania należą się śp. Wojciechowi Janowiczowi, który ponadprzeciętnie zasłużył się dla KŁ Żuraw, a funkcję łowczego pełnił nieprzerwanie przez 43 lata – od 1972 do 2015 r.

Zwierzęta i myśliwi

Obwody dzierżawione przez KŁ Żuraw to obszary w przeważającej części rolne. Powierzchnia lasu w obwodzie nr 341 koło Ziębic wynosi zaledwie 472 ha, a w obwodzie nr 173 koło Żmigrodu, położonym w bezpośrednim sąsiedztwie Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy – 798 ha. Na „naszym" terenie występują jelenie, dziki, sarny, zające, lisy, borsuki, kuropatwy, bażanty, kaczki i gęsi. W pierwszych latach istnienia koła liczba pozyskiwanych zwierząt łownych nie była najwyższa i nie przekraczała 10 sztuk dla każdego gatunku. Znaczący przyrost pozyskiwanej zwierzyny notuje się dopiero od lat 80. XX wieku. Rekordowe pod tym względem było polowanie zbiorowe zorganizowane 14.11.2021 w obwodzie nr 341 (Ziębice) – pozyskano wówczas 47 sztuk dzików.

Członkami koła były i są przeważnie osoby z Wrocławia oraz mieszkańcy miejscowości położonych w granicach naszych obwodów. Można powiedzieć, że jesteśmy kołem typowo męskim. Przed laty do Żurawia należała jedna Diana, śp. Danuta Skibińska, twórczyni naszej Kroniki za lata 1952–1980.

Dawniej na polowania dojeżdżano środkami komunikacji powszechnej – autobusami i pociągami. W latach 80. XX wieku sytuacja znacznie się poprawiła, bo myśliwi dowożeni byli autobusami zakładowymi wynajmowanymi z ZZSD „Predom-Polar" we Wrocławiu, gdzie koło miało swoją siedzibę. Po roku 2000 każdy już indywidualnie organizuje sobie transport.

A jak pozyskiwano zwierzęta? W latach 60. XX wieku na łowy – zarówno na ptactwo, jak i na grubego zwierza – wyruszano z dubeltówkami. Naboje do nich były zazwyczaj elaborowane przez samych myśliwych, zarówno te ze śrutem, jak i typu breneka (na dziki, sarny i jelenie). Sztucery były wtedy dobrem praktycznie nieosiągalnym. Nowa, lepsza broń zaczęła pojawiać się w sklepach myśliwskich dopiero pod koniec lat 70.

Polowania nie były jedyną aktywnością naszych myśliwych, a niektórzy członkowie KŁ Żuraw nie ograniczali się wyłącznie do działalności na „własnym podwórku". Swoją wiedzą i pasją dzielili się również w okręgowych i centralnych organach Polskiego Związku Łowieckiego.

Wojciech Janowicz był członkiem Okręgowej Rady Łowieckiej we Wrocławiu oraz członkiem Komisji Kynologicznej PZŁ we Wrocławiu. Ryszard Krynicki, przewodniczący Okręgowego Zjazdu Delegatów Okręgu Wrocławskiego, pełnił również funkcję zastępcy Okręgowego Rzecznika Dyscyplinarnego PZŁ we Wrocławiu, był członkiem Okręgowej Rady Łowieckiej we Wrocławiu, delegatem na Krajowy Zjazd Delegatów PZŁ, zastępcą członka Naczelnej Rady Łowieckiej PZŁ, członkiem Komisji Prawnej Naczelnej Rady Łowieckiej w Warszawie oraz delegatem na Okręgowy Zjazd Delegatów Okręgu Wrocławskiego. Igor Krynicki jest Przewodniczącym Komisji Prawidłowości Odstrzałów Okręgu Wrocławskiego PZŁ oraz Przewodniczącym Wyceny Medalowej Trofeów Łowieckich Okręgu Wrocławskiego PZŁ.

Mamy nadzieję, że mimo niepewnych czasów Koło Łowieckie Żuraw będzie działało przez co najmniej kolejne 70 lat, a jego członkowie będą bez reszty oddani sprawie przyrody. Darzbór!

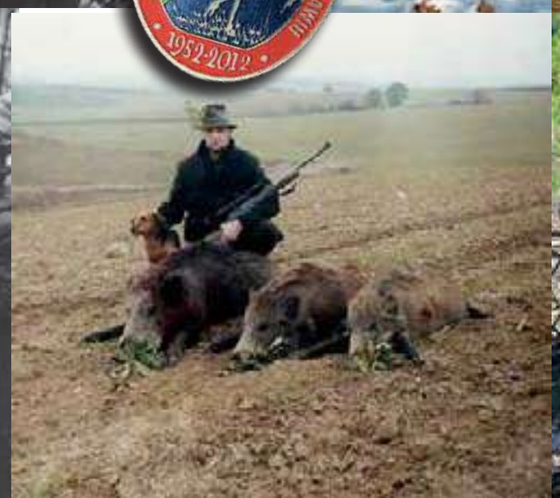

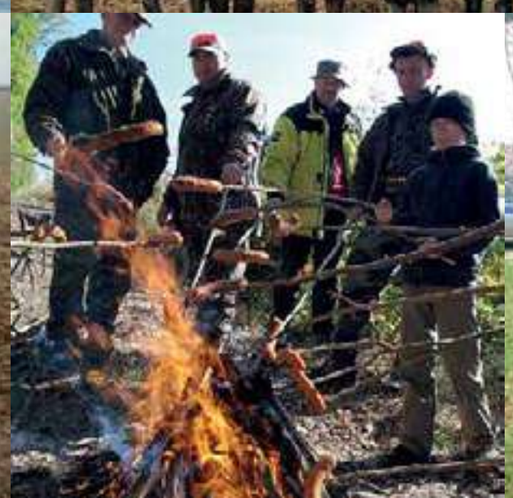

Dwa pokolenia

Rozmawiam z przedstawicielami dwóch pokoleń myśliwych, połączonych ze sobą więzami rodzinnymi. Moimi rozmówcami są Ryszard Krynicki i jego syn Igor, którzy znacznie odbiegają od stereotypowych wyobrażeń myśliwych. Dla nich łowiectwo to coś więcej niż tylko wyjście ze strzelbą w teren. Nie ukrywam, że w tej rozmowie interesuje mnie właśnie to „coś więcej"...

Rozmawia: Jacek Seniów
Zdjęcia: Tomasz Stasiak

Kiedy w Waszym życiu pojawiło się łowiectwo i kto was nim zaraził?

RK: Z łowiectwem zetknąłem się po raz pierwszy, kiedy zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej. Myśliwi z koła łowieckiego św. Huberta we Wrocławiu organizowali polowania zbiorowe na zające w aktualnym obwodzie łowieckim nr 274 pod Wrocławiem, znajdującym się na terenach gmin Kobierzyce i Sobótka. Polowania te odbywały się zazwyczaj tuż przed świętami Bożego Narodzenia, zjeżdżały wtedy samochody z myśliwymi oraz naganką. Wraz z kolegami przyglądaliśmy się z daleka rozstawionym liniom myśliwych, nagance poruszającej się po polach oraz pędzącym na linie myśliwych zającom. Robiło to na nas ogromne wrażenie, a w naszych głowach rodziły się marzenia, że może kiedyś i my zostaniemy myśliwymi…

Na moje zainteresowanie myślistwem wpływ miały również opowieści ojca, który w oparciu o upoważnienia pełnomocnika rządu Rzeczypospolitej Polskiej na obwód XIX we Wrocławiu przybył już w maju 1945 r. do Pustkowa Żurawskiego, zamieszkanego jeszcze w całości przez Niemców, i rozpoczął pracę w Zakładzie Hodowli Roślin (oryginał upoważnienia jest do dzisiaj w moim posiadaniu). Dobrze pamiętam, jak ojciec opowiadał, że w pałacu w Pustkowie mieszkają Rosjanie (pilnujący magazynów cukru w pobliskiej cukrowni), którzy urządzają na pobliskich polach polowania na zające i bażanty. Tych ostatnich było bardzo dużo, bo w pobliskich Krzyżowicach (niem. Schlanz) Niemcy prowadzili bażanciarnię. Ojciec opowiadał też, że w pałacach w Pustkowie (niem. Puschkowa) i Solnej (niem. Grosse Segewitz) znajduje się wiele trofeów łowieckich, starej broni myśliwskiej oraz innego wyposażenia myśliwskiego. Dwa poroża z tego okresu, jak i część serwisu obiadowego – talerze fajansowe z motywami myśliwskimi – do dziś znajdują się w moich zbiorach.

Moje myśliwskie pasje rozwinęły się również dzięki bratu mojej babci, Adamowi Forgheimowi, który był łowczym koła łowieckiego w Gdańsku i bardzo często opowiadał o polowaniach, a my jako małe dzieci słuchaliśmy go z wielkim zaciekawieniem.

Moja przygoda z łowiectwem na dobre rozpoczęła się jednak dopiero po ukończeniu studiów i zrobieniu aplikacji… Prowadziłem wtedy obsługę prawną Centrali Techniczno-Handlowej „Unitra – Serwis" Oddział we Wrocławiu i poznałem jej dyrektora Jerzego Kunickiego, długoletniego myśliwego, członka KŁ Szarak w Jelczu-Laskowicach. To bez wątpienia jemu zawdzięczam podjęcie decyzji o wstąpieniu w szeregi Polskiego Związku Łowieckiego. Z racji tego, iż prowadziłem również obsługę prawną Zakładów Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Polar" we Wrocławiu (obecnie Whirlpool Sp. z o.o.), przy których funkcjonowało Koło Łowieckie Żuraw, zapytałem śp. pamięci Wojciecha Janowicza, niezwykle sprawnego i skutecznego w działaniu łowczego koła, czy mógłbym odbyć w tym kole staż. I Pan Wojciech moją propozycję przyjął z zadowoleniem. Po odbytym stażu i zdanym egzaminie przyjęto mnie do tegoż koła, gdzie objąłem funkcję sekretarza, a później prezesa, którą piastuję do dzisiaj.

Myślę, że te wszystkie epizody z dzieciństwa, czyli polowania myśliwych z koła łowieckiego św. Huberta we Wrocławiu, opowiadania o kolekcjach trofeów myśliwskich znajdujących się w pałacach w Pustkowie Żurawskim i Solnej oraz opowieści ojca zadecydowały w późniejszym okresie o podjęciu decyzji o wstąpieniu w szeregi Polskiego Związku Łowieckiego.

IK: Łowiectwem zaraził mnie mój ojciec – pierwszy zderzenie z łowiectwem miało miejsce bodajże w roku 1989, kiedy to ojciec wraz ze swoim kolegą wtargali na 2 piętro naszego bloku swojego pierwszego dzika pozyskanego na polowaniu zbiorowym. Od tamtej pory regularnie jeździłem z tatą na polowania – początkowo zbiorowe, a potem również indywidualne. Z racji mojego młodego wieku na polowania indywidualne tato zabierał mnie zazwyczaj wtedy, gdy było już nieco cieplej, a więc od wiosny do wczesnej jesieni, no i trwały one jedynie do zmierzchu. W miarę jak stawałem się coraz star-

Niektóre reliefy autorstwa Georga Bommera (1, 4, 5), Oskara Pfluga (2) i Dillera (3)

Medal Regionalnej Wystawy Łowieckiej z 1979 r. upamiętniającej 50-lecie Powszechnej Wystawy Łowieckiej zorganizowanej w 1929 r. w Poznaniu. Autorem medalu jest znany medalier Józef Stasiński

Przedwojenna plakieta strażnika leśnego

Kolekcja okolicznościowych medali z wizerunkami zwierząt łownych

Wazony wykonane z łusek armatnich z okresu I wojny światowej

Jeden z 24 talerzy kompletu myśliwskiego zastawy stołowej serwisu obiadowego pochodzącego z pałacu w Pustkowie Żurawskim. W skład kompletu wchodzą 24 talerze duże płytkie i głębokie oraz 24 talerzyki małe – deserowe

Złoty medal Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego przyznany za I miejsce w kategorii WIENIEC JELENIA podczas pomorskiej wystawy łowieckiej zorganizowanej w 1933 r.

szy, wydłużały się moje pobyty w terenie, a z czasem pozostawaliśmy w łowisku przez całe weekendy. Od początku ojciec pokazywał mi różne aspekty łowiectwa, nie tylko samo pozyskiwanie zwierzyny. Liczył się dla nas przede wszystkim kontakt i obcowanie z przyrodą, spędzanie wolnego czasu na łonie natury i odkrywanie jej tajemnic. Szczególne upodobanie mieliśmy do polowań w okresie wiosenno-letnim na ciekawe kozły i tak też pozostało do dzisiaj. Albumy Puchalskiego czy Łapińskiego przeglądałem od najmłodszych lat, a aparaty fotograficzne ojciec posiadał od zawsze i zawsze zabierał je z sobą do lasu. Dokumentowanie polowań stanowiło integralną część samego polowania. Obecnie, w dobie względnie taniego i dobrego sprzętu fotograficznego, niezwykle cieszy oglądanie na fotografiach tego samego kozła przez kilka sezonów z rzędu oraz podglądanie i analizowanie, jak zmienia się jego poroże na przestrzeni lat.

Od najmłodszych lat ojciec zabierał mnie w weekendy nie tylko na polowania, ale i na giełdy staroci, gdzie wyszukiwaliśmy i kupowaliśmy ciekawe trofea, obrazy, a także różne wytwory sztuki związane z łowiectwem. Tego typu kolekcjonerstwo od zawsze stanowiło nieodłączny element naszego życia. Poloważyliśmy nie tylko na zwierzynę, ale również na ciekawe eksponaty.

W równym więc stopniu staram się przekazywać wiedzę związaną z przyrodą, łowiectwem oraz kolekcjonerstwem moim dzieciom, choć zostało to obecnie w dużym stopniu ograniczone prawem. Piękna, a jednocześnie bardzo wzruszająca dla mnie była pierwsza wycieczka do lasu z 4-letnim synem Hubertem. Szliśmy razem, z lornetką na szyi i aparatem u boku, po terenie mojego obwodu w okolicach Żmigrodu, i już po przejściu 200 m syn zauważył leżący na ziemi zrzut byka daniela! Będzie to dla niego niezwykła pamiątka na całe życie, gdyż zrzut, pomimo swych niewielkich rozmiarów, zostanie ozdobiony wygrawerowanym napisem „kiedy i przez kogo został znaleziony" i zajmie należyte miejsce na

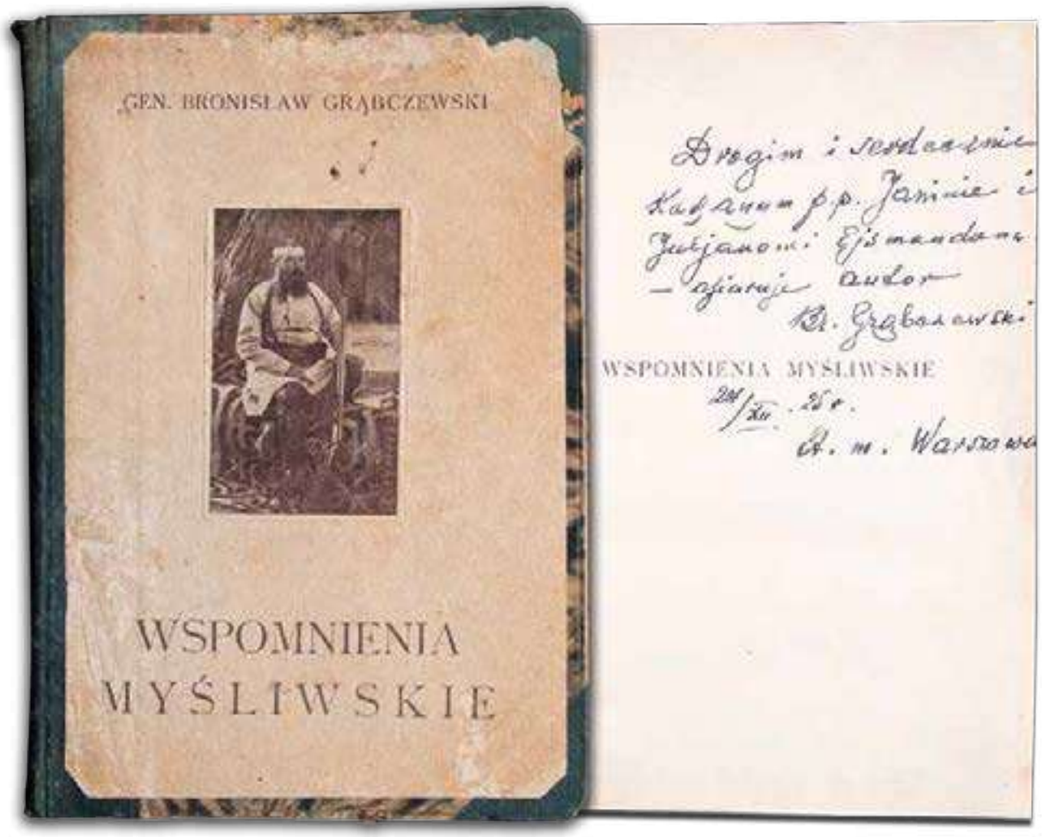

„Wspomnienia myśliwskie" (wyd.1925 r.) znanego podróżnika i odkrywcy gen. Bronisława Grąbczewskiego. Książka posiada oryginalną dedykację autora dla Juliana Ejsmonda z roku 1925

ścianie. Powtórzę w tym miejscu: ogromna szkoda, iż ograniczono nam myśliwym możliwość zabierania własnych dzieci na polowania…

Kiedy zrozumieliście, że łowiectwo to coś więcej niż pole, las i zwierzyna?

RK: Po wstąpieniu do koła łowieckiego początkowo fascynowały mnie same polowania i pierwsze przeżycia z nimi związane. Ale już niedługo potem zaczęła mnie pochłaniać cała otoczka związana z łowiectwem, a więc literatura, obrazy, medale, płaskorzeźby, stare wyposażenie myśliwskie, zdjęcia, trofea itp. Zresztą skłonności kolekcjonerskie przejawiałem już dawniej i lubiłem zbierać stare przedmioty. Szybko więc zacząłem gromadzić różnorodne artefakty związane z myślistwem – nie tylko dla siebie, ale i dla potomnych.

Syn, którego po ukończeniu 5 lat zabierałem niemal na wszystkie polowania zbiorowe, w których zresztą bardzo chętnie brał udział, bardzo szybko zainteresował się łowiectwem i już w wieku 17 lat miał za sobą zdany egzamin łowiecki. Jego zainteresowania dotyczą w szczególności trofeistyki (to chyba zasługa Jerzego Luźniaka) oraz literatury (książki i czasopisma) i głównie na tym się skupił. Moje zainteresowania są szersze, gdyż oprócz łowiectwa interesują mnie również inne dziedziny. Uważam, że życie bez pasji, niezależnie od tego, co cię interesuje, jest o wiele uboższe niż życie pasjonata. Pasje pozwalają na ciągły rozwój, poznawanie ciekawych ludzi oraz permanentne poszerzanie swojej wiedzy.

Nie na darmo ktoś powiedział, że „im więcej wiesz, tym więcej widzisz".

IK: Łowiectwo i szeroko pojęte myślistwo pełniło w naszym życiu zawsze bardzo ważną rolę. Nie ograniczało się to tylko do kontaktu z przyrodą, wykonywaniem polowań, ale także z poszerzaniem swojej wiedzy w tym zakresie, gromadzeniem zbiorów zarówno trofeistycznych, jak i literatury związanej z łowiectwem, a także różnego rodzaju wytworów sztuki – obrazów, reliefów, pocztówek, medali itp. W trakcie mojego „związku" z łowiectwem, trwającego już grubo ponad 30 lat, nazbierała się tego całkiem pokaźna kolekcja. Trzema osobami, które w moim myśliwskim żywocie odegrały bardzo ważną rolę, były: mój ojciec, kol. Robert Fiuk oraz kol. Jerzy Luźniak. Temu pierwszemu oczywiście zawdzięczam najwięcej,

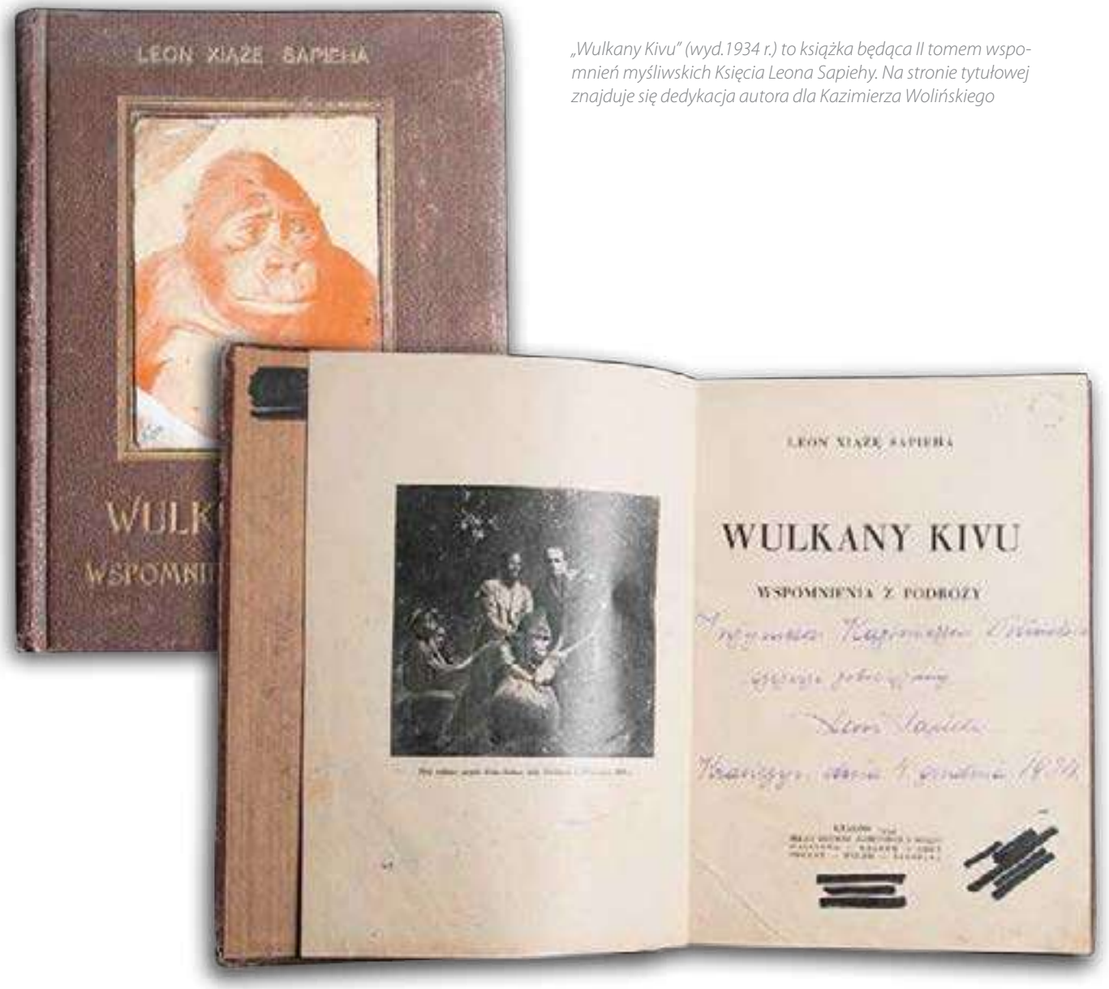

„Wulkany Kivu" (wyd.1934 r.) to książka będąca II tomem wspomnień myśliwskich Księcia Leona Sapiehy. Na stronie tytułowej znajduje się dedykacja autora dla Kazimierza Wolińskiego

gdyż poznał mnie z łowiectwem, pokazał, czym jest myślistwo i tradycja, oraz wyjaśnił, na czym polega kolekcjonerstwo. Kol. Robert nauczył mnie technik i sztuki samego polowania, zaznajomił z wieloma zachowaniami zwierzyny oraz przekonał, że szacunkiem obdarzać należy także trofea – to właśnie jego pokój myśliwski robił na mnie, jeszcze jako dziecku, największe wrażenie. Natomiast kol. Jerzy Luźniak przekazał mi część swojej niezwykle bogatej wiedzy z zakresu literatury łowieckiej oraz sztuki związanej z tą właśnie dziedziną. Dzięki wielogodzinnym rozmowom poznałem wielu, wówczas jeszcze mi nieznanych, autorów przedwojennych publikacji. Poszukiwałem później ich książek na aukcjach, namiętnie je kupowałem i pochłaniałem zawarte w nich informacje. A wiedza z zakresu trofeistyki, jaką posiada kol. Jerzy Luźniak, jest jedyna w swoim rodzaju. Olbrzymi zasób informacji z tej dziedziny, zarówno jeśli idzie o wycenę, jak i ocenę trofeów, uzyskałem podczas naszej wspólnej pracy w Komisji Wyceny Trofeów. Jak mawiają starzy nemrodzi, trofeum wiszące na ścianie jest cząstką naszych wspomnień. Kiedy spoglądamy na nie, przypominamy sobie każdą chwilę związaną z polowaniem – miejsce polowania, pogodę, jaka wtedy była, wysiłek, jaki włożyliśmy w zdobycie trofeum, a także każdy moment tego dnia. Wspomnienia to właśnie to, co nam pozostanie, a trofea, gdy na nie spojrzymy, potrafią te wspomnienia w sposób błyskawiczny przywrócić.

Dzięki zdobytej przez lata wiedzy staram się również przekazywać ją młodszym adeptom. Od kilku lat prowadzę wykłady dla wstępujących dopiero w nasze szeregi myśliwych oraz dla selekcjonerów. Trzeci sezon pełnię funkcję przewodniczącego Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału samców zwierzyny płowej, a także przewodniczącego Wyceny Medalowej Trofeów Łowieckich na terenie okręgu wrocławskiego. W KŁ Żuraw pełnię funkcję łowczego od

Bogato ilustrowane wspomnienia myśliwskie autorstwa hrabiego Józefa Potockiego z trzech wypraw myśliwskich do egzotycznych krajów: „Notatki myśliwskie z Afryki" (wyd.1897 r.), „Notatki myśliwskie z dalekiego wschodu I – Indie" (wyd.1896 r.) oraz „Notatki myśliwskie z dalekiego wschodu II – Ceylon" (wyd.1896 r.)

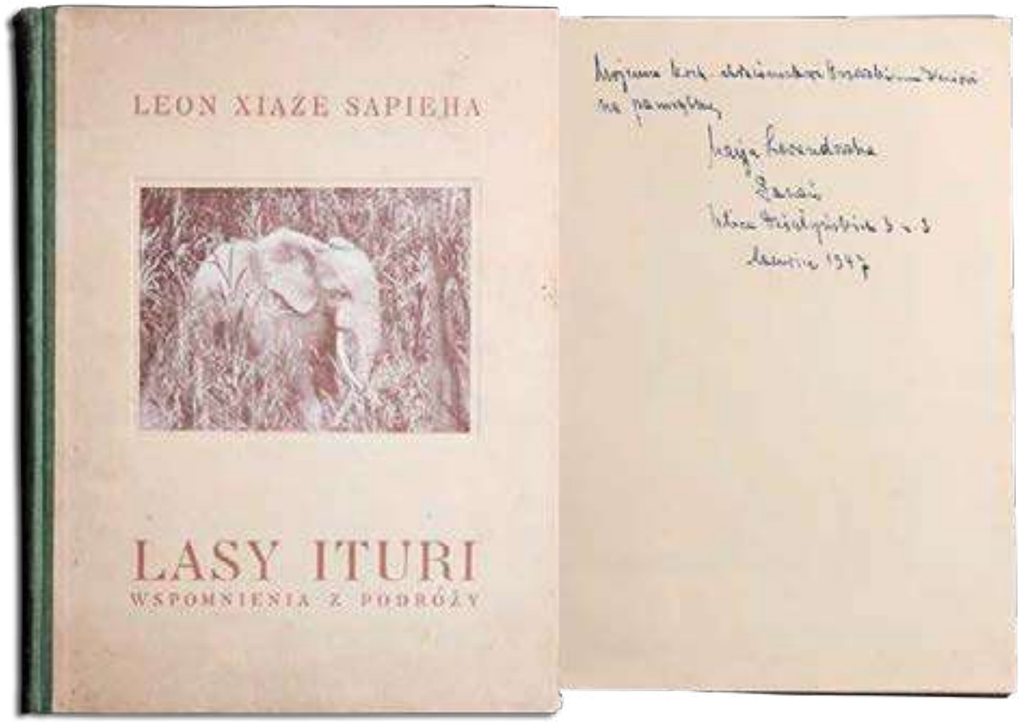

„Lasy Ituri" (wyd.1928 r.) to książka będąca I tomem wspomnień myśliwskich Księcia Leona Sapiehy z wyprawy na słonie

2015 r. – początkowo jako p.o., a później już jako łowczy, zastępując mojego poprzednika wielce zasłużonego dla koła śp. kol. Wojciecha Janowicza, który był łowczym nieprzerwanie przez ponad 40 lat.

Koncentrujecie się na określonych artefaktach związanych z myślistwem. Co Wam to daje?

RK: Budując swoje zbiory, zmuszani jesteśmy do ciągłego drążenia i wyszukiwania informacji związanych z nimi, do sięgania wstecz, do ich historii, do poznawania ich autorów, sposobów ich wytwarzania itd. Takie rzeczy strasznie wciągają…

Gromadząc zaś zbiory trofeistyczne, podziwiamy piękno przyrody oraz jej niepowtarzalność.

IK: Zbiory, jakie posiadam, to głównie literatura związana z łowiectwem i przyrodą. Kolekcja książek, zebranych przez mojego ojca, liczyła kilkadziesiąt sztuk, a dzisiaj posiadam ponad 1000 woluminów dotyczących łowiectwa i przyrody. Zgromadziłem wiele białych kruków, m.in. wszystkie książki hr. Józefa Potockiego. Zbieram książki związane z szeroko pojętym łowiectwem, myślistwem i przyrodą. Od samego początku gromadzimy także czasopisma łowieckie. To właśnie w nich od najmłodszych lat oglądałem i zachwycałem się fotografiami ciekawych i medalowych trofeów, a także z wielkim zainteresowaniem czytałem opowiadania i wspomnienia myśliwskie. Jako młody człowiek, biorąc do ręki „Łowca Polskiego", w pierwszej kolejności kierowałem swój wzrok na ostatnie strony, gdzie znajdowała się rubryka ze zdjęciami z polowań i z trofeami. Trofeistyka od samego początku stanowiła dla mnie tę najbardziej ciekawą dziedzinę łowiectwa. Dzięki pasji do gromadzenia trofeów, których mam już kilkaset, udało się uratować przed zniszczeniem i przerobieniem na proszek wiele ciekawych eksponatów. Dziś, po 20 latach bycia myśliwym, gdy posiadam własne złotomedalowe trofea jeleni, saren i dzików, nadal potrafię dokupić jakiś ciekawy zrzut do kolekcji. Stare katalogi z wystaw łowieckich, jakie udało mi się na przestrzeni lat zgromadzić, stanowią część kolekcji – są to m.in. katalogi z międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu 1910 r. i Berlinie w 1937 r. Przeglądając dawne książki i fotografie zawsze zwracałem uwagę, oprócz trofeów, na pozostałe przedmioty znajdujące się na ścianach i w przestrzeniach saloników myśliwskich, a więc różnego rodzaju obrazy, rzeźby oraz kolekcje broni. Bardzo mi się to podobało i od zawsze pragnąłem posiadać taki pokój myśliwski, w którym będą nie tylko trofea łowieckie, ale również obrazy i rzeźby związane z łowiectwem i przyrodą. Tak więc

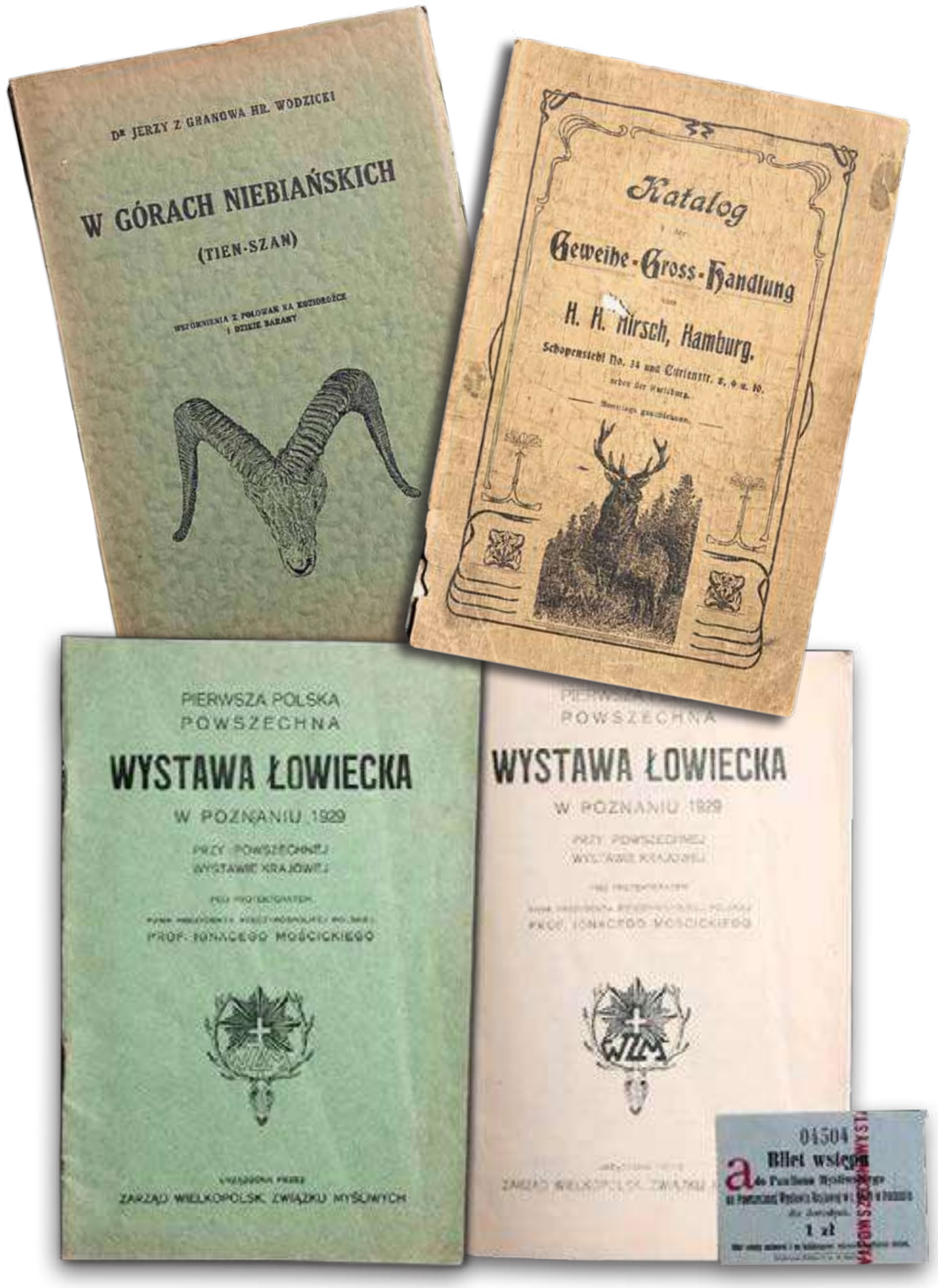

„W górach niebiańskich" (Lwów 1938 r.) – wspomnienia myśliwskie Hrabiego Jerzego Wodzickiego z ponad 6-miesięcznej wyprawy myśliwskiej w góry Tien-Szan.
Bogato ilustrowany, jak na owe czasy, katalog firmy oferującej sprzedaż trofeów egzotycznych z różnych stron świata (wydany w 1897 r.).
Katalog oraz bilet wstępu na Pierwszą Polską Powszechną Wystawę Łowiecką, która odbyła się w Poznaniu w 1929 r. przy Powszechnej Wystawie Krajowej

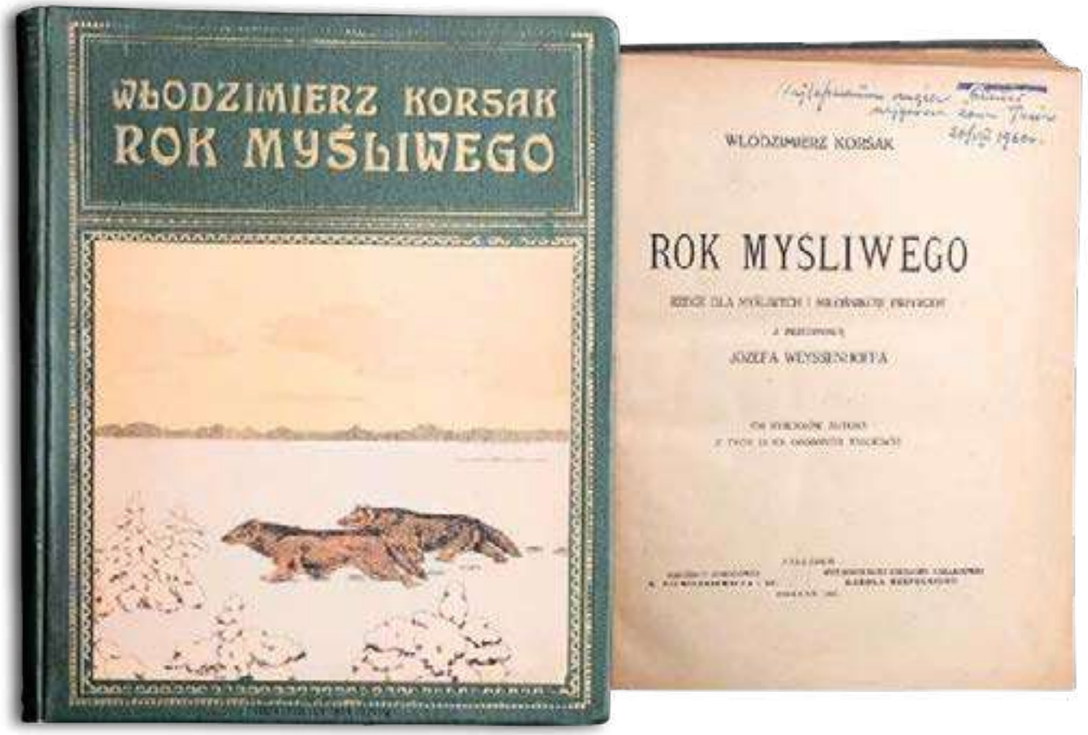

„Rok myśliwego" Włodzimierza Korsaka (wyd.1922 r.) to jedno z najbardziej znanych i cenionych dzieł polskiej literatury łowieckiej

integralną część naszej kolekcji stanowią również grafiki, drzeworyty i reliefy cynowe, m.in. takich autorów jak Fritz Diller, Oskar Pflug, Georg Bommer. Jak już wspomniałem, trofeistyka była dla mnie jedną z najważniejszych dziedzin łowiectwa i zbierałem oprócz katalogów z wystaw łowieckich również medale i pocztówki związane z wystawami łowieckimi.

Jestem przekonany, że trudno w obecnych czasach o lepszą promocję łowiectwa jak poprzez kulturę. Dlatego proszę, abyście odnieśli się do takiej kwestii – funkcja łowiectwa w kulturze, a funkcja kultury w łowiectwie.

RK: Żyjemy w czasach, w których uprawianie łowiectwa zaczyna być postrzegane coraz bardziej negatywnie. I to na całym świecie. A jego przeciwnicy mówią wprost, że zabijamy dla sportu a nie jak ludzie pierwotni dla zdobycia pożywienia (obiektywnie rzecz biorąc, coś w tym jest). Myślę, że tego trendu nie będzie już można odwrócić, a co najwyżej złagodzić. Przyczynić się do tego może szersze upublicznienie dorobku kultury łowieckiej, co rozpoczęła już Brać Łowiecka, prezentując niezwykle interesujące artykuły dr Izabeli Kamińskiej. W niemałym stopniu przyczyniają się do tego nasze wrocławskie Pasje.

Dotychczasowy dorobek w zakresie kultury łowieckiej jest naprawę przeogromny, jednakże wiedza o nim wśród ludzi znikoma. Rozpowszechnianie tego dorobku nawet wśród braci myśliwskiej ma bezpośredni wpływ na ich kontakty międzyludzkie, jak i otaczającą przyrodę.

IK: Od czasu, gdy ludzie zmienili dziko rosnące lasy w pola uprawne, planowany odstrzał zwierzyny dziko żyjącej stał się niezbędny do prawidłowego funkcjonowania środowiska i zachowania równowagi ekologicznej, zwłaszcza że znacznie zmniejszyło się pogłowie dużych drapieżników. Dziś przyroda nie jest w stanie prawidłowo rozwijać się i funkcjonować bez pomocy człowieka i myśliwych, pełniących poniekąd funkcję dużych drapieżników i dbających o zrównoważoną liczbę zwierzyny na danym areale. 100-letni okres istnienia jednej organizacji łowieckiej w Polsce pozwolił na wypracowanie zasad i tradycji łowieckich, które są kultywowane, kontynuowane i wzbogacane przez następne pokolenia. Samo zaś łowiectwo towarzyszy człowiekowi od zarania, gdy tylko musiał zaspokoić pierwszy głód, zdobywając pożywienie i polując na dziką zwierzynę. A wraz z rozwojem cywilizacji łowiectwo zaczęło pełnić ważną rolę w życiu człowieka, który dał temu wyraz w wielu dziedzinach sztuki.

Dziękuję za rozmowę.

Przedwojenny niemiecki album na zdjęcia, w którym właściciel przechowuje swój zbiór przedwojennych pocztówek. Prezentowane pocztówki związane są z międzynarodowymi wystawami łowieckimi w Wiedniu w 1910 r. i Berlinie w 1937 r. Widoczna „polska" ekspozycja prezentowana wtedy jako „galicyjska".

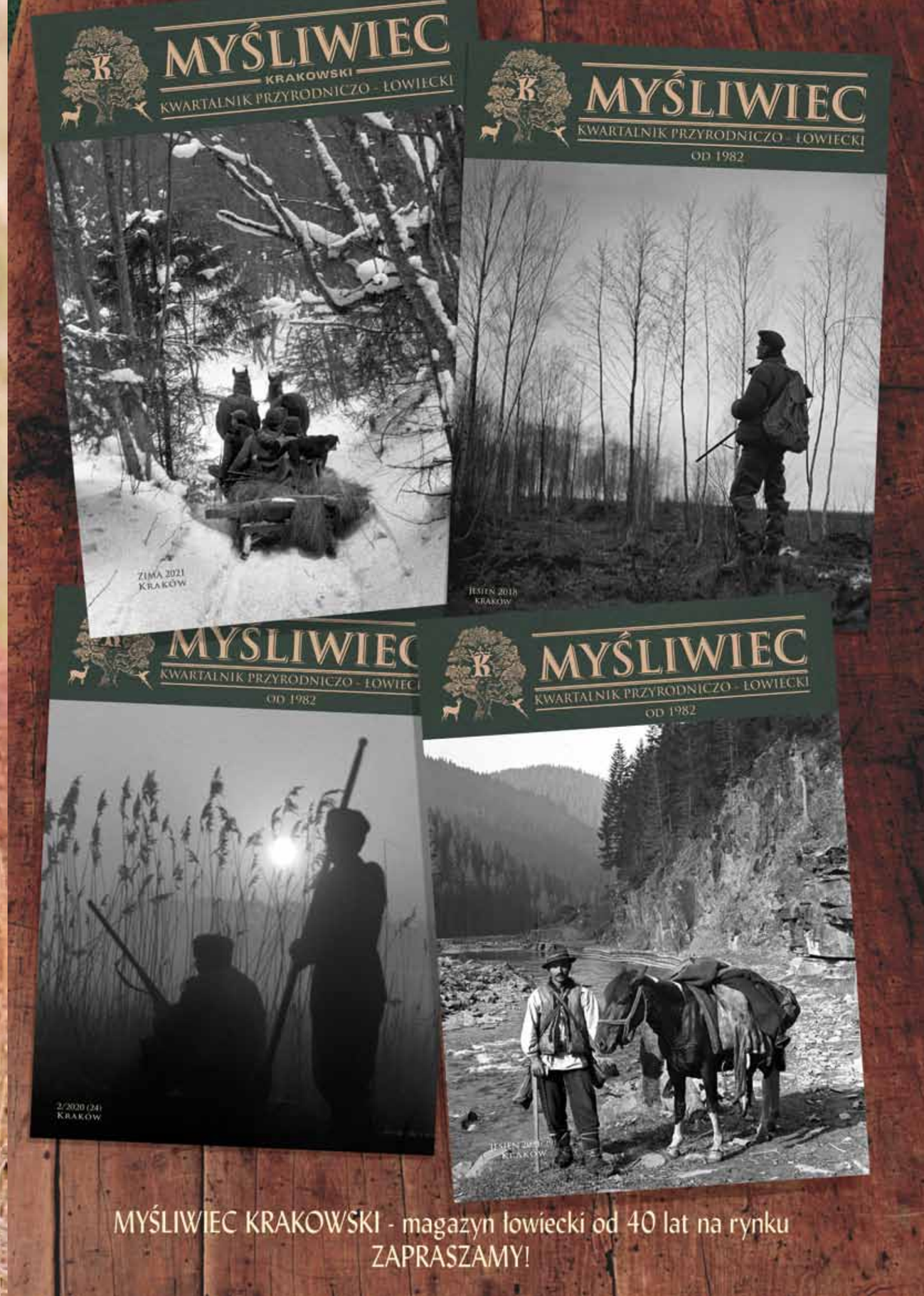
MYŚLIWIEC
KRAKOWSKI
KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI
ZIMA 2021
KRAKÓW
MYŚLIWIEC
KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI
OD 1982
JESIEŃ 2018
KRAKÓW
MYŚLIWIEC
KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI
OD 1982
2/2020 (24)
KRAKÓW
MYŚLIWIEC
KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI
OD 1982
MYŚLIWIEC KRAKOWSKI - magazyn łowiecki od 40 lat na rynku
ZAPRASZAMY!

Myśliwi, rycerze, zakony – etos rycerski dawniej i dziś

Tekst: Janusz Kozerski
Zdjęcia: Archiwum Autora

Co łączy współczesnych myśliwych ze średniowiecznymi rycerzami. Jakie idee przyświecały powoływaniu do życia zakonów w okresie średniowiecza i renesansu, które po wielu wiekach zostały reaktywowane przez myśliwych. Jakie wartości etosu rycerskiego są tak uniwersalne, że w świecie rządzonym przez pieniądze często po nie sięgamy. Mówimy o etosie myśliwskim, którego korzenie sięgają świata antycznego. Artykuł ten jest efektem dyskusji na powyższe tematy z kolegami z Zakonu Kawalerów Orderu Złotego Jelenia, przeprowadzonej podczas jubileuszowego spotkania w 350. rocznicę jego powołania.

Historia łowiectwa jest równie długa jak historia ludzkości. Obok zbieractwa była to podstawowa forma zdobywania pokarmu do czasu rozpoczęcia uprawy roli i hodowli. Polowanie na zwierzęta dostarczało pożywienia i materiałów do wyrobu odzieży i narzędzi, wymuszało również zachowania społeczne. Pierwsi myśliwi musieli ze sobą współdziałać, przewidywać różne sytuacje, planować polowanie i wzajemne się komunikować – jest to początek cywilizacyjnego rozwoju człowieka. Na przestrzeni wieków łowiectwo ewoluowało i zmieniała się jego rola. W okresie wspólnoty plemiennej uprawianie łowiectwa nie było ograniczone, polować mogli wszyscy. Sprzyjały temu dobre warunki, duża lesistość, małe zaludnienie i obfitość zwierzyny. Z powstaniem ustroju feudalnego łowiectwo zaczęło stawać się domeną i przywilejem klas panujących. We wczesnopiastowskim państwie polskim systematycznie ograniczano do niego dostęp całej ludności, a polowanie zaczęto traktować jako przywilej. Za czasów Bolesława Chrobrego wprowadzono regalia, określane jako monopol panującego, uważane za pierwszą formę prawodawstwa w Polsce. W całym kraju nadawało ono panującym prawo do łowów na „grubego zwierza". Do tej grupy zaliczano: tury, żubry, niedźwiedzie, łosie, jelenie, dziki, dzikie konie, bobry. Monopol łowiecki uprawniał władców do udzielania przywileju wykonywania łowów, ale również do nakładania na poddanych powinności łowieckich. W tym okresie powołano urzędy i służbę, którą stanowili między innymi bobrownicy, sokolnicy, psiarze, ptasznicy, stanowniczy, setnicy, osacznicy, objezdnicy, śledczy, szczwacze, iskarze i wielu innych. Z sokołami mogli polować tylko możnowładcy.

Od XI wieku w Polsce wyodrębnia się nowa grupa społeczna – rycerstwo. Funkcjonowały dwie grupy możnowładców – nobile, magnates, proceres oraz zwykli rycerze – milites. Poza Śląskiem i Pomorzem nie wykształciła się hierarchia lenna – ziemia nadawana drużynnikom na prawie rycerskim przez władcę była dobrem dziedzicznym. Wojownicy należeli do stanu o ściśle określonych prawach i obowiązkach. Ich postępowanie opierało się na specjalnym etosie z uwzględnieniem kodeksu rycerskiego. Pierwotnie rycerzem mógł być nazwany każdy konny woj, lecz pod koniec XI wieku w Europie nazwę tę mógł nosić tylko wojownik pasowany na rycerza. Początkowo o przynależności do stanu rycerskiego nie decydowało pochodzenie, lecz status materialny umożliwiający zakup kosztownego uzbrojenia, koni i utrzymanie służby. Rola rycerstwa rosła wskutek nadawania im przez władców, głównie w XIII w., immunitetów – zarówno sądowych, jak i ekonomicznych. Kształtowaniu się tożsamości rycerstwa i jego odrębności jako warstwy społecznej sprzyjał rozwój obyczajowości, etyki, kultury rycerskiej i łowieckiej. Atrybutami rycerza stały się miecz z pasem i ostrogi. Wzorem była postać dzielnego wojownika, walczącego dla sławy, hojnego, bezwarunkowo wiernego podjętym zobowiązaniom, zapewniającego obronę i ochronę kobietom, duchownym, pielgrzymom, sierotom i najuboższym. Ważną częścią kultury rycerskiej były turnieje, które pojawiły się około XII wieku i stały się jedną z najwyżej cenionych rozrywek rycerstwa aż do XVI wieku. Pierwszy turniej na ziemiach polskich odbył się 24.02.1243 r. w Lwówku Śląskim z polecenia księcia legnickiego Bolesława II Rogatki.

Wspólną dla całego stanu rycerskiego rozrywką było polowanie. Można śmiało powiedzieć, że nie każdy możny był rycerzem, ale każdy rycerz był myśliwym. W średniowieczu łowiectwo stało się elementem szkolenia rycerskiego. Polowania były namiastką wojny, ponadto pozwalały w naturalny sposób na rozładowanie agresji. Poprawiały kondycję, ale również kształtowały charakter. Udział w łowach na grubego zwierza był nieodłącznym elementem wizerunku idealnego władcy i rycerza. Na polowaniach często zapadały ważne decyzje polityczne i personalne. Podczas polowań rycerze zyskiwali łatwiejszy dostęp do możnowładców i większą szansę na dostąpienie ich łask. Polowania były częścią życia średniowiecznych elit, tym samym wpisywały się w etos rycerski i uznawano je za rozrywkę szlachetnie urodzonych.

Etos średniowiecznych rycerzy swymi korzeniami sięga starożytnej Grecji.

Jako zbiór wartości klasy ludzi związanych z walką stanowi kontynuację i rozwinięcie w warunkach europejskiego feudalizmu etosu wojowników opiewanych przez Homera. Etos pierwszych rycerzy, brutalnych i hołdujących wartościom takim jak siła fizyczna, duma czy odwaga z czasem zaczął ewoluować w kierunku wartości wyższych. Od końca XI wieku zainteresowany wpływem na wartości rycerskie był Kościół. W okresie krucjat do Ziemi Świętej pojawiła się idea walki w obronie wiary, która stała się głównym elementem etosu rycerskiego. W XII wieku powstał wzór nowego rycerza – wojownika pełnego miłości do chrześcijan, obojętnego na sprawy ziemskie, mającego w pogardzie zbytek i odważnie wycinającego sobie mieczem drogę do raju. Najważniejszymi wyznacznikami etosu rycerskiego były następujące wartości: dobre urodzenie, stanowa solidarność rycerska, hojność, żądza sławy, odwaga, wierność danemu słowu, etyka walki, siła fizyczna, uroda i wdzięk, szlachetna postawa wobec kobiet. Zawisza Czarny już przez współczesnych został uznany za wzór cnót rycerskich.

Specyficzną formą organizacji rycerstwa były zakony rycerskie powstałe w okresie krucjat – stanowiły próbę połączenia ideału rycerza i mnicha. Tęsknota za okresem świetności rycerstwa doprowadziła u schyłku średniowiecza i w okresie renesansu do powstania wielu nowych zakonów. Na potrzeby artykułu ograniczę się do krótkiego opisania zakonów powstałych na ziemiach piastowskiego Śląska i w Czechach, które po kilku wiekach zostały reaktywowane przez współczesnych myśliwych.

Zakon Obroża Psa Gończego

7 sierpnia 1413 r. na zamku w Legnicy został wystawiony dokument fundacyjny zakonu rycerskiego „Rüdenband", co w tłumaczeniu dr. hab. Romualda Kaczmarka znaczy „Obroża Psa Gończego". Dokument sygnowany był przez księcia legnickiego, biskupa wrocławskiego Wacława II, księcia legnicko-brzeskiego Ludwika II, księcia opawskiego Przemysława I, książąt oleśnickich Konrada IV Starszego i Konrada Kąckiego oraz księcia żagańskiego Jana I. Członkami zakonu byli między innymi: książę głogowski Henryk IX, Hannus von Zedlitz – pan na zamku w Prochowicach, Martin von Buzewoy – pan na zamku w Grodźcu, Heincze von Alczenaf – marszałek dworu, Segmund von Pogrell – pan na zamku Owiesno, starosta księstwa świdnicko-jaworskiego, Nikiel von Kittelicz oraz wielu znamienitych panów i rycerzy. Wielu z nich pochodziło ze starych śląskich rodów Bożywojów, Czedliczów, Pogorzelów, Kietliczów, Parchewiczów. Zakon rozprzestrzeniał się terytorialnie i liczebnie. Z punktu widzenia historycznego najważniejsze było przyjęcie w 1420 r. do zakonu Jana IV Hohenzollerna, margrabiego brandenburskiego. Został on przedstawicielem Rüdenbandu na Szwabię, Frankonię i Bawarię z prawem przyjmowania nowych członków. Do końca panowania dynastii Hohenzollernów insygnia tego rycerskiego zakonu zdobiły udostojniony herb Śląska (1842 r.), a w kolejnych latach herb Dolnego Śląska (1855 r.). Dokument fundacyjny miał charakter statutu. Określał, że odpowiednio do liczby sześciu książąt dzieli się zakon na sześć grup, z których każda liczy po czterech starszych. Wszyscy członkowie zakonu mieli wspierać się w sprawach słusznych oraz zobowiązani byli do pomocy stowarzyszonemu, który znalazł się w trudnej sytuacji i nie mógł z niej wybrnąć o własnych siłach. W przypadkach sporów mogli zwracać się o ich rozwikłanie do księcia, będącego członkiem zakonu, uznając następnie bez sprzeciwu jego wyrok. W innym przypadku groziła kara pieniężna i utrata członkostwa. Podobne konsekwencje miano wyciągać wobec osób postępujących niezgodnie z honorem. Zakon corocznie w niedzielę po św. Marcinie organizował turnieje rycerskie i wspólne łowy. Czas turniejowy obowiązywał trzy dni, był też jedynym momentem w roku przewidzianym na przyjmowanie nowych członków. Order zakonu stanowiła obroża, w której umieszczono herb Piastów legnicko-brzeskich (nawiązuje do herbu księcia Fryderyka I, wykonanego przez Konrada Grünenberga w 1483 r.). Słowo „obroża" ma dwa symboliczne znaczenia, w języku łacińskim brzmi collare – od tego powstała koloratka określająca ważny element stroju duchownego. Koloratka na szyi kapłana ma przypominać obrączkę i obrożę – zaślubiny z Chrystusem i Kościołem. Ob-

roże psów bojowych wyposażone w ostrza siały postrach w szeregach wroga. Obroże psów gończych z kolcami wystającymi na zewnątrz broniły je przed atakami innych psów i wilków. Zakon, podobnie jak obroża chroniąca psa, chronił swoich członków.

W 598. rocznicę podpisania dokumentu fundacyjnego, w dniu 7 sierpnia 2011 r. w Lubinie miłośnicy ponadczasowych wartości rycerstwa i łowiectwa – Janusz Kozerski, Robert Szwed i Marian Stachów postanowili przywrócić do życia po prawie sześciu wiekach Zakon Obroża Psa Gończego, którego idee i wartości są nadal aktualne. W działalności organizacyjnej zakonu obowiązuje Reguła oparta na dokumencie fundacyjnym z 1413 roku i normy stowarzyszeń obecnie działających. Historyczną siedzibą zakonu jest Wieża św. Jadwigi Śląskiej legnickiego zamku. Wysoko na wieży znajduje się komnata zwana Zieloną, sala spotkań rycerskiego zakonu. Na glifach otworów okiennych zielonej komnaty powstał cykl fresków „Dziewięciu Bohaterów" – według średniowiecznego toposu trzy triady historycznych, biblijnych i legendarnych postaci będących ideałem średniowiecznego rycerstwa, reprezentujących pogaństwo, judaizm i chrześcijaństwo. Znajomość ich życia i świadomość ich męstwa były dla giermków jednym z punktów wyjścia przy ocenianiu ich przed pasowaniem na rycerzy. Aktualnie członkowie zakonu spotykają się na zamkach w Grodźcu i w Prochowicach, należących do pierwszych założycieli zakonu. 22 września 2012 r. na zamku w Grodźcu odbyło się pierwsze Walne Zgromadzenie Członków Zakonu, które przyjęło statut i podjęło uchwałę o zarejestrowaniu stowarzyszenia w Krajowym Rejestrze Sądowym. Założyciele reaktywowanego zakonu propagują na różne sposoby kulturę łowiecką i tradycje rycerskie. Przez wiele lat współorganizowali Nadodrzański Festyn Myśliwski, w ramach którego odbywał się konkurs sygnalistów O miedziany sopel, konkurs wabienia jeleni, pokazy psów myśliwskich, wystawy, konkursy o tematyce ekologicznej dla dzieci. Z inicjatywy zakonu zorganizowano Hubertusa Miedziowego – wspólne polowanie lubińskich kół łowieckich z uroczystą oprawą nawiązującą do tradycji średniowiecznej z udziałem rycerstwa. Członkowie zakonu uczestniczą w wielu imprezach łowieckich prezentując tradycje łowieckie z okresu panowania Piastów Śląskich, między innymi w Hubertusie organizowanym w zamku w Kliczkowie, Kaczawskich Konkursach Sygnalistów, wystawach łowieckich, uroczystych mszach hubertowskich. Zakon organizuje corocznie spotkania rycerskie, w ramach których odbywa się turniej rycerski, a towarzyszą mu gry i zabawy dworskie. Wokół obozu rycerskiego prezentowane jest średniowieczne rzemiosło, w licznych kramach można nabyć podpłomyki, ekwipunek rycerski i zabawki dla dzieci.

Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia

23 sierpnia 1672 r. 12-letni książę legnicko-wołowsko-brzeski Jerzy IV Wilhelm upolował pierwszego w życiu jelenia. Wydarzenie to stało się przyczyną ustanowienia Orderu Złotego Jelenia, który książę nadał gronu swych przyjaciół i towarzyszy polowań. Składał się on z pierścienia, na którym zaczepione były z obu stron dwie wstęgi, zaś w jego dolnej części łańcuszek z symbolem kroczącego jelenia umieszczonego na dębowym liściu. Rewers orderu ukazywał czerwone emaliowane serce, na którym widniał biały krzyż. Nadany przez księcia statut określał klejnot orderu, zasady działania, przyznawał członkom zakonu prerogatywy, immunitety i przywileje, a także ograniczył liczbę członków do 24 towarzyszy. Książę pomimo młodego wieku był wszechstronnie wykształcony i posiadał wiedzę o zakonach rycerskich powoływanych w średniowieczu. Podobnie jak Zakon Rüdenband – Zakon Obroża Psa Gończego, Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia nawiązuje do Orderu Podwiązki założonego w 1348 r. przez króla Anglii Edwarda III. We wszystkich zakonach liczba członków, oprócz suwerenów, liczyła 24. W statucie książę wyznaczył 23 sierpnia jako dzień spotkań zakonu w jego zwierzyńcu. Po łowach zaś orderowi mogli się dobrze zabawić przy dobrym posiłku i dźwiękach rogów. W tym dniu organizowano strzelanie ze sztucera do sylwetki jelenia. Corocznie w czasie łojności jeleni każdemu uczestnikowi wydawano trochę dziczyzny i węgrzyna, by całe zgromadzenie mogło się dobrze bawić. Po ponad 300 latach w dniu 23.08.1998 r. w Lanckoronie myśliwi, wybitni działacze kultury łowieckiej – Marek Piotr Krzemień, Leszek Krawczyk, Zbigniew Krych, Mirosław Szubiński i Tadeusz Wajda reaktywowali Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia. Przyjęto zasady funkcjonowania, które zawarto w Historycznym Statucie Zakonu. Przyjęte tam normy opierały się na prawach Statutu Zakonu Księcia Jerzego IV Wilhelma z 1672 r. oraz uwarunkowaniach współczesnych. W pierwszej Kapitule–Zarządzie znalazły się osoby reaktywujące Zakon. Wielkim Mistrzem został Marek Piotr Krzemień, Wielkim Łowczym Zbigniew Krych, Kanclerzem Leszek Krawczyk, Marszałkiem Tadeusz Wajda, a Kronikarzem Mirosław Szubiński. W dniu 12.12.2001 r. Sąd Rejonowy postanowił wpisać zakon do Krajowego Rejestru Sądowego z siedzibą w Dąbrowie Górniczej. W 2008 r. przeniesiono sądownie siedzibę zakonu do Zamku Piastów Legnicko-Brzeskich w Brzegu. W działalności organizacyjnej członków obowiązują: Statut Historyczny jako Kodeks Kawalerski i Statut Zakonu, zgodny z prawem o stowarzyszeniach. Zakon jest organizacją kultury łowieckiej, którego członkowie zobowiązują się do przestrzegania i promowania jej zasad. Zadania statutowe realizowane są poprzez wyrażanie opinii w istotnych sprawach łowiectwa i przyrody, współpracę z organizacjami łowieckimi i Lasami Państwowymi. Zakon prowadzi również działalność wydawniczą. Władzami zakonu są: Zgromadzenie Zakonu, Kapituła i Komisja Rewizyjna. Strojem Kawalera jest mundur myśliwski z plakietkami zakonu. Kawalera wyróżniają insygnia, którymi są Order i jego miniatura, pieczęcie, pierścienie, peleryna z klamrą, futrzana czapka z broszą ozdobioną piórami, kordelas oraz mieszek z kulami – czarną i białą – do głosowania. Funkcjonują także precjoza i druki, tj. srebrna replika Orderu z okazji wyboru Wielkiego Mistrza, medal Księcia Jerzego IV Wilhelma i bolo z miniaturą Orderu. Insygniami Wielkiego Mistrza są: łańcuch z ryngrafem oraz sygnet będący jednocześnie jego pieczęcią. Zakon posiada również własną chorągiew. W życiu zakonu najważniejszym wydarzeniem jest coroczne Zgromadzenie Zakonu, w trakcie którego tradycyjnie odbywa się polowanie i zawody strzeleckie do tarczy z wizerunkiem byka jelenia. Ustanowiony w 2008 r. medal zakonu Poloniae Venationis Culturae Bene Merenti nadawany jest osobom szczególnie zasłużonym dla kultury łowieckiej. Patronem zakonu jest św. Eustachy.

W ciągu 25 lat aktywnej działalności członkowie zakonu uczestniczyli czynnie we wszystkich Leżajskich Festiwalach. Zorganizowali I Kongres Kultury Łowieckiej Pszczyna 2008 po hasłem „Kultura łowiecka źródłem tożsamości polskich myśliwych", a w dniach 10–13.06.2011 r. II Kongres Kultury Łowieckiej w Niepołomicach. Zakon organizował ponadto sympozja, wystawy, wernisaże i festiwale łowieckie zarówno w kraju, jak i za granicą. Prowadził działalność wydawniczą i edukacyjną, organizował warsztaty i plenery twórcze. Ustanawiał medale i odznaczenia, promował swoją działalność na targach łowieckich i wystawienniczych. Prowadzi współpracę z reaktywowanymi zakonami i organizacjami łowieckimi z sąsiednich krajów. Z perspektywy wieków można stwierdzić, że idee zawarte w historycznym statucie zakonu miały charakter nie tylko reformatorski, ale wizjonerski i ponadczasowy.

Zakon św. Huberta

3 listopada 1695 r. w Lysa nad Labem hrabia Frantisek Antonin Sporck powołał do życia Zakon św. Huberta. Sam został Wielkim Mistrzem i założył księgę zakonną, do której wpisywani byli członkowie zakonu. Ustalił również 30 warunków i obowiązków dla członków. Orderem zakonu był medalion z obrazem św. Huberta klęczącego przed jeleniem, który ma w wieńcu krzyż zdobiony kamieniami szlachetnymi. Zawieszony jest nad rogiem z czerwoną kokardą. W dniu 3.11.1723 r. podczas festynu myśliwskiego insygnia zakonu zostały wręczone cesarzowi Karolowi IV. Wybitnymi członkami zakonu byli: małżonka cesarza Karola IV Elżbieta Krystyna, cesarz Franciszek Lotaryński, królowie polscy August II Mocny i August III, królewicz Eugen Sawojski, królewicz z Modeny, infant portugalski Emanuel II, członkowie znamienitych rodów Schwarzenbergów, Czerninów, Kolowratów, Lichtensteinów, Kińskich i innych. Głównym warunkiem przystąpienia do zakonu była na wskroś gorliwa działalność w zakresie łowiectwa szlachetnego, z szacunkiem do przykazań boskich, wysławiać Boga, jakoż i św. Huberta, patrona łowiectwa. Za ich wstawiennictwem zostać skutecznym szlachcicem ducha,

krzewicielem przyjaźni, zgody i miłości dla bliźniego i szacunku dla Stworzyciela. Hrabia Franciszek Antoni Sporck umarł 30.03.1738 r. Na czele zakonu stanął wówczas jego siostrzeniec, niestety, pozbawiony charyzmy stryja. Zakon zaczął więc powoli tracić na znaczeniu. Nigdy jednak nie został rozwiązany i wielokrotnie podejmowano próby jego reaktywacji. Pierwsze próby przywrócenia działalności zakonu podjęto w 1938 r. z okazji rocznicy śmierci hrabiego Sporcka, ale zostały one udaremnione przez wybuch drugiej wojny światowej. Współczesny Zakon św. Huberta został powołany bez zgody ówczesnych władz, wieczorem 3.03.1978 r. przed wejściem do grobowca w Kuksie, gdzie pochowany jest hrabia Franciszek Antoni Sporck. Wielka w tym zasługa dr. Józefa Strycha, Karola Franca, Alesza Kuny i Jerzego Rolecka. Do 1989 r. zakon działał w konspiracji, dopiero 16.06.1992 r. został zarejestrowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Czeskiej Republiki Federacyjnej jako samodzielny podmiot prawny. Współczesnym celem Zakonu jest ochrona i propagowanie łowiectwa i tradycji myśliwskich. Zakon zwraca szczególną uwagę na sprawy etyki i moralnego postępowania myśliwych. Do głównych wydarzeń organizowanych przez zakon można zaliczyć coroczne seminaria poświęcone zagadnieniom dotyczącym polowań oraz święto św. Huberta w Kuksie, które jest największym festynem myśliwskim w Czechach.

Zadania statutowe zakonu realizowane są przez grupy regionalne, zwane komendy. Wieloletnia współpraca myśliwych z Polski i Czech w ramach Międzynarodowego Stowarzyszenia Myśliwych Pogranicza zaowocowała nawiązaniem współpracy z Zakonem św. Huberta. Ważnym wydarzeniem było przyjęcie do zakonu w dniu 31.03.2007 r. br. Romana Rybaka, myśliwego Koła Łowieckiego Sylwan z Wrocławia. W ramach struktur organizacyjnych w 2008 r. powołano Prefekturę Polską, mającą na celu kontynuację dobrych stosunków między myśliwymi z Czech i Polski w zakresie poszerzania wzajemnych kontaktów między myśliwymi, ekologami i społeczeństwem.

Podsumowanie

Często pada pytanie, dlaczego grupa myśliwych, realizująca się w różnych zawodach, podjęła trud reaktywowania po wielu latach zapomnianych zakonów. Zacytuję ważne słowa Profesora Jana Szczepańskiego: „Każdy człowiek może swój sens życia wyprowadzić tylko ze swojej własnej indywidualności, to znaczy z tych cech i właściwości, które są tylko jego, które decydują o jego tożsamości i które są jego podstawą odniesienia do spraw świata, rzeczy, ludzi, przyrody i wartości". Historia rozumiana jako sposób poznawania przeszłości nie jest już domeną wyłącznie uczonych. Na jej temat wypowiadają się różne autorytety, w tym również pasjonaci. Przeszłość stała się dobrem powszechnym, obecnym w wielu aspektach życia. Od lat 70., a szczególnie 90. ubiegłego wieku fenomenem stają się rekonstrukcje historyczne, teraźniejszość czyni z historii atrakcję. To fascynacja przeszłością stanowi podstawową motywację skłaniającą ludzi do działań rekonstruktorskich, w tym również reaktywowania zakonów. Ogromne znaczenie odgrywa tu pasja, którą trudno jednoznacznie zdefiniować. Rodzi się w naszym wnętrzu, a jedynie jej „wytwory" uwidaczniają się na zewnątrz. Pasja bowiem zawsze wiąże się z tworzeniem czegoś oraz wysiłkiem twórczym ze strony pasjonata. Pasję definiuje się jako pewnego rodzaju siłę i energię życiową, pasja jest tym, co napędza nas do działania, wzmaga nasze zaangażowanie w to, co robimy. Pasji myśliwym nigdy nie brakowało, polowanie jest tylko jednym z elementów szeroko pojętego łowiectwa. Kultura i tradycja łowiecka odgrywa tu szczególną rolę. Dlatego tak ważna jest gwara łowiecka, zwyczaje łowieckie, kolekcjonerstwo i sygnalistyka. Zachowujemy to, co najcenniejsze z naszej historii dla nowych pokoleń myśliwych. Myśliwi przywracający do życia zakony podjęli trud zebrania o nich historycznych informacji, aby to, co warte poznania i kultywowania, podziwiać i ożywiać. Zadanie to było szczególnie trudne ze względu na brak polskich publikacji na ten temat. Dokumenty źródłowe pochodziły z rozproszonych po Europie ikonografii, portretów i zapisów w księgach. Trudność polegała nie tylko na przetłumaczeniu wiekowych tekstów, ale zrozumieniu ich współczesnego sensu. Dzięki internetowi w ostatnich latach łatwiej dotrzeć do zachodnich publikacji na temat zakonów, wymagają one jednak również poprawnego tłumaczenia. Podjęcie tego wysiłku jest wynikiem przekonania o wartości tych tradycji, o potrzebie uczenia się na tych wartościach, wzorcach i zasadach, wzbogacania siebie i swojej tożsamości. Szczególnie ważna jest świadomość historyczna, przywracanie pamięci o przeszłości ziem, na których mieszkamy, historii ludzi tu żyjących, o tym jak było, co można uznać za szczególną wartość obecnie, co jest tradycją ciągle żywą, co warto reaktywować. Order również współcześnie jest symbolem więzi i znakiem przynależności do wspólnoty zakonnej, w średniowieczu był najwyższą formą wyróżnienia honorowego za zasługi dla możnowładcy, monarchy lub państwa. Ducha dawnego uroczystego przyjmowania do wspólnoty zakonnej oraz wymóg ścisłego przestrzegania wyraźnie określonych reguł postępowania zastąpiły proste ceremonie wręczania orderów. Nie ma już książąt i monarchów, w Polsce odznaczenia mają charakter państwowy. Nie odnawialiśmy zakonów w imieniu ich założycieli, ale chcieliśmy przywrócić ich pamięć, promować idee zawarte w dokumentach fundacyjnych. Skoro na czele zakonu nie stoi suweren, tylko demokratycznie wybrany Wielki Mistrz, nie można orderu przyznawać „za zasługi" dla panującego. Reaktywowane przez pasjonatów zakony przyjęły współczesne zasady organizacyjne, oparte na ustawie o stowarzyszeniach. Zachowaliśmy jednak historyczny ceremoniał pasowania nowo przyjętych członków. Założyciele niejako zapraszali nowych kandydatów do zakonu, musieli oni jednak spełniać określone wcześniej wymagania. Pozycja i prestiż odnowionych zakonów tak jak wcześniej zależy od ich założycieli. Kiedyś im wyższa była pozycja fundatora orderu, tym większy był jego prestiż, dzisiaj o pozycji i atrakcyjności zakonu decydują działania jego członków. To przez pryzmat tego, co robimy na rzecz kultury łowieckiej, oceniają nas koledzy myśliwi. Stroje, insygnia i ceremoniał są atrakcyjne, ale same z siebie nie przekonują do nas innych. To ludzie, ponadprzeciętni myśliwi, nadają sens funkcjonowaniu zakonów. Nie zawsze jest to akceptowane przez wszystkich, jest to jednak istotny element naszej historii i kultury łowieckiej, z którą się utożsamiamy. Kultura łowiecka jest zbiorem duchowego i materialnego dziedzictwa wielu pokoleń myśliwych. Łowiectwo zyskuje dzięki tradycjom regionalnym i zróżnicowanej historycznie Polsce. Jak w każdej wielowiekowej tradycji dziedzictwo rodzimego łowiectwa winno być pielęgnowane przez współczesne pokolenie myśliwych. Pielęgnowanie tradycji łowieckiej dotyczy w szczególności wzorów uznawanych, które stanowią pewne idealne i pożądane w danej zbiorowości reguły zachowań.

Tęsknota do nieco wyidealizowanej przeszłości, wspólna pasja do krzewienia kultury i tradycji łowieckiej, zamiłowanie do zgłębiania wiedzy historycznej skłoniła wielu myśliwych do reaktywowania zapomnianych rycerskich i myśliwskich zakonów. Staliśmy się strażnikami ich historii, rycerzami św. Eustachego i św. Huberta. Wnosimy uniwersalne wartości z przeszłości do współczesnego łowiectwa.

Jedwabna apaszka Diany w Muzeum Ślężańskim w Sobótce

Muzeum Ślężańskie im. Stanisława Dunajewskiego w Sobótce ma zaszczyt zaprosić na wystawy dwóch kolekcjonerek z Sudeckiej Krainy Łowieckiej, które łączy przynależność do Klubu Dian PZŁ. To nasza muzealna propozycja spojrzenia na nieznane pasje polujących dam w 100-lecie Polskiego Związku Łowieckiego. Rosnąca liczba kobiet w Polskim Związku Łowieckim zwraca uwagę na role, które pełnią. Są aktywne w strzelectwie, kynologii, pełnią wysokie funkcje w kołach łowieckich, otrzymują najwyższe łowieckie wyróżnienia, a w zaciszu myśliwskiego gabinetu kolekcjonują artefakty swojej pasji. Przedmioty inne niż koledzy po strzelbie. Takie są nasze kolekcjonerki i Diany: Katarzyna Hutka z okręgu opolskiego PZŁ i Małgorzata Świerczewska z okręgu wrocławskiego, które 19 sierpnia 2023 roku o godzinie 18:00 w Muzeum Ślężańskim w Sobótce otworzą swoje wystawy. Pokażą odmienną stronę kobiecego łowiectwa, ukrytą w jedwabnej, myśliwskiej apaszce znanych europejskich projektantów. Odkryją swoje spojrzenie na naturę i sztukę użytkową. O godzinie 17:00 zapraszamy do lapidarium Muzeum Ślężańskiego przy ul. Św. Jakuba 18, na koncert Zespołu Sygnalistów Myśliwskich Okręgu Wałbrzyskiego „Odgłosy Kniei ", który otworzy nasze wernisaże.

Obie wystawy będzie można zobaczyć od 19 sierpnia do 2 października w Muzeum Ślężańskim. Na wernisaż organizatorzy zapraszają wszystkich, którym bliski jest temat przyrody w sztuce.

Czytać, nie czytać

Rozmawia: Jacek Seniów
Zdjęcie: Ryszard Adamus

Nie od dziś wiadomo, że stan czytelnictwa w Polsce jest wysoce niezadowalający. Przeprowadzane ankiety wskazują, że choć osoby kończące specjalistyczne kursy czy szkolenia sięgają po literaturę fachową, to najczęściej, po zdanych egzaminach, na niej poprzestają, nie rozwijając dalej nabytej wiedzy, a ta przecież ciągle ulega zmianom. Do tej grupy zaliczyć trzeba myśliwych, którym często zarzuca się wręcz pospolite nieuctwo w zakresie wiedzy związanej z łowiectwem. O tym rozmawiam z prof. dr. hab. Dariuszem Gwiazdowiczem.

– Czy taki stan rzeczy to sprawa indywidualna czy pewien trend? – pytam prof. Dariusza J. Gwiazdowicza z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

– Na co dzień obserwujemy zmieniające się warunki środowiskowe, zauważamy też, jak ewoluują oczekiwania społeczne. W ślad za tym zmienia się i łowiectwo, a więc rola i zadania, przed jakimi staje współczesny myśliwy. Dziś oczekuje się od nas myśliwych umiejętności przeprowadzenia inwentaryzacji zwierzyny i zrobienia szczegółowego planu łowieckiego, znajomości metod szacowania szkód, skutecznego i bezpiecznego odstrzału z uwzględnieniem np. zasad bioasekuracji. Aby dobrze wypełniać powierzone nam zadania, musimy mieć określoną wiedzę, gdyż w przeciwnym razie narażamy się na uzasadnioną krytykę. Zdobywanie wiedzy czy określonych umiejętności może się odbywać różnymi ścieżkami, ale wydaje się, że literatura łowiecka i doświadczenie terenowe są jednymi z najskuteczniejszych. Dlatego zachęcamy zarówno młodych, początkujących myśliwych, jak i starszych, doświadczonych łowców, aby nie żyli w przeświadczeniu, że już wszystko wiedzą i nic nie muszą robić. Niestety, rzeczywiście obserwuje się w ostatnich latach dużą niechęć do czytania zarówno książek, jak i prasy specjalistycznej. Dostrzega się to nie tylko wśród myśliwych, ale także wśród studentów, którzy powinni dużo czytać.

– Skoro wszystko się nieustannie zmienia, to może rozwiązaniem byłaby zmiana form podawania wiedzy?

– Z pewnością tak. Dziś nie wystarczą nowe, aktualizowane podręczniki w atrakcyjnej szacie edytorskiej. Nie wystarczą kursy szkoleniowe organizowane przez Zarządy Okręgowe PZŁ. Oferta edukacyjna powinna być bogatsza i obejmować na przykład filmy szkoleniowe powszechnie dostępne w Internecie. Dobrym rozwiązaniem mogłyby być łatwe aplikacje z podstawowymi informacjami dostępne na smartfonach. Zachęcamy też do organizowania otwartych konferencji i seminariów na szczeblu lokalnym oraz krajowym, podczas których uczestnicy mogliby pozyskać wiele ciekawych informacji, a ponadto mieć możliwość bezpośredniego kontaktu z prelegentami.

– Jeśli tak, to kto powinien się tym zajmować?

– Dziś każdy może dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem, a w Internecie jest wiele informacji przygotowanych z myślą o myśliwych. Niestety, nie wszystko jest na wysokim poziomie merytorycznym. W moim odczuciu do zadań PZŁ, np. Zarządu Głównego, Zarządów Okręgowych, Naczelnej Rady Łowieckiej, komisji działających przy NRŁ należy kreowanie, inicjowanie, ale także wspieranie i promowanie wśród myśliwych tych inicjatyw, które będą podnosiły poziom wiedzy.

– A czy wiedza niezbędna wystarczy myśliwemu do sprawnego i rzetelnego funkcjonowania w łowiectwie?

– Przez wiedzę niezbędną rozumiemy zazwyczaj wiedzę podstawową, a taką określa program szkoleń dla kandydatów na myśliwych, co jest następnie weryfikowane pytaniami egzaminacyjnymi. Rzecz jednak w tym, abyśmy mieli świadomość, że wiedza podstawowa jest punktem wyjścia do dalszego samokształcenia i to zarówno teoretycznego, jak i praktycznego. Rozwój łowiectwa i nakładanie na myśliwych wielu nowych obowiązków, o czym już wspominaliśmy, wymusza konieczność ciągłego dokształcania.

– Ze strony myśliwych słychać głosy o braku łatwego dostępu do stosownych portali internetowych, pozwalających aktualizować posiadaną wiedzę. Pobrzmiewa w nich żal do środowisk naukowych o ten stan rzeczy. Jak to wygląda?

– Taki żal skierowany w stronę środowiska naukowego jest zrozumiały i często uzasadniony. Jako naukowcy rzeczywiście za mało robimy dla środowiska myśliwych i musielibyśmy się zastanowić, jak to zmienić. Z drugiej jednak strony mamy wiele nowych inicjatyw, np. kanał na YouTube pt.„Łowieckie spotkania", gdzie znajdują się ciekawe prelekcje na wybrane tematy dotyczące gospodarki łowieckiej (https://www.youtube.com/channel/UC6OsJTaAdVmLqBAeRQEQXZw). Niestety, mało kto tam zagląda, a jeszcze mniejsza grupa wdraża w życie to, o czym się tam mówi. Mamy wiele opracowań, których myśliwi nie czytają i nie wdrażają w codziennej pracy. Trzeba zatem o takich sprawach częściej rozmawiać i ta nasza rozmowa z pewnością temu służy.

– Równie ważne jest, jak zdobycze nauki przekładają się na wprowadzane w łowiectwie regulacje kształtujące jego funkcjonowanie.

– To rzeczywiście problem, który także dostrzegam. Chodzi mianowicie o transfer wiedzy naukowej do praktyki, co można osiągnąć poprzez bliską współpracę pomiędzy naukowcami a czasopismami łowieckimi. Publikacje naukowe nie są zrozumiałe dla większości czytelników, dlatego konieczne jest syntetyczne przedstawianie wyników badań w formie popularnonaukowej w periodykach, które czytają szerokie rzesze myśliwych. Cieszę się, że „Pasje" są otwarte na takie informacje, z czego mogłem już kiedyś skorzystać. I to jest chyba wyzwanie dla nas naukowców i dla redaktorów prasy łowieckiej, aby stworzyć wspólną platformę, na której będą przekazywane wartościowe treści podnoszące poziom wiedzy naszych myśliwych.

Krzysztof Marceli Kadlec

Krzysztof Marceli Kadlec – artysta muzyk (waltornista), kompozytor muzyki myśliwskiej i leśnej, badacz dziejów polskiej muzyki łowieckiej, popularyzator dawnej i współczesnej muzycznej kultury łowieckiej, juror krajowych i zagranicznych konkursów muzyki myśliwskiej, przewodniczący Komisji Muzycznej Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ, prezes Oddziału Poznańskiego KKiKŁ, Kawaler Zakonu Kawalerów Orderu Złotego Jelenia, członek Komisji Kultury ZO PZŁ w Poznaniu, myśliwy.

Rozmawia: Jacek Seniów
Zdjęcia: Archiwum Krzysztofa Kadlca

– Krzysztofie, czy Twoje zainteresowanie muzyką myśliwską jest tylko pochodną faktu, iż jesteś muzykiem, którego uroki Diany zawiodły do łowiectwa?

– W moim rodzinnym domu żywe były tradycje muzyczne. Moja mama – Maria, poznanianka z urodzenia, w młodych latach uczyła się grać na fortepianie, co zresztą nie było czymś wyjątkowym. W latach 30. ubiegłego wieku śpiewała w chórze prowadzonym przez znakomitego ówczesnego dyrygenta Opery Poznańskiej Zygmunta Latoszewskiego. Ojciec Marceli – Kresowiak z dawnego województwa stanisławowskiego był z wykształcenia flecistą. W okresie międzywojennym aż do nagłej śmierci w 1955 roku należał do szermierzy pieśni polskiej na terenie Pomorza, działając na niwie amatorskiego ruchu śpiewaczego. Położył wybitne zasługi w organizowaniu i rozwoju śpiewactwa polskiego. Jakieś muzyczne i społeczne geny zostały przekazane przez rodziców moim dwóm starszym braciom i mnie. Jedynie, czego od nich nie otrzymałem, to łowieckiego zacięcia, bo ani rodzice, ani dziadkowie nie polowali. No, może polował dziadek ze strony ojca, jako kresowy ziemianin... Ale to tylko moje przypuszczenia, bowiem zmarł dziesiątki lat przed moim urodzeniem.

Swoją edukację muzyczną zacząłem od toruńskiej muzycznej szkoły podstawowej, gdzie początkowo rzępoliłem na skrzypcach. Po czterech latach męczarni ze mną mój profesor definitywnie stwierdził, że pomimo usilnych starań skrzypka ze mnie nie zrobi. Miał całkowitą rację. Dzięki Bogu dostrzegł jednak we mnie cechy, którymi powinien odznaczać się muzyk, a więc dobry słuch, poczucie rytmu i jakąś wrażliwość muzyczną. No i wiedział, że lubię chodzić na koncerty Bydgoskiej Filharmonii, która przyjeżdżała do Torunia dwa razy w miesiącu. To było dla mnie zawsze wielkie przeżycie. Szczególnie podobały mi się sola na rogu, więc kiedy mój skrzypcowy profesor zaproponował mi, abym przeszedł do klasy waltorni, większej radości nie mógł mi sprawić. I tak się zaczęła moja kariera waltornisty. Po podstawówce przyszła pora na średnią szkołę muzyczną, a po jej ukończeniu studia w ówczesnej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu (dzisiaj Akademia Muzyczna) na wydziale instrumentalnym. Wtedy miałem pierwszy kontakt, nie do końca świadomy, z muzyką myśliwską. Otóż byłem dość często angażowany przez Filharmonię Poznańską, z którą wyruszałem w tzw. trasy koncertowe po szkołach i klubach Poznania i województwa. Przy demonstracji instrumentu zawodowy prelegent nawiązywał do związków łączących waltornię z rogiem myśliwskim i z polowaniem. Szczerze mówiąc, na ten temat nie wiedział zbyt wiele, podobnie zresztą jak

ja. Kiedy mówił o zajączku, to chciał, abym zagrał jakiś sygnał na zająca, więc wymyślałem na poczekaniu krótką skoczną melodyjkę. Jak wspominał o polowaniu na niedźwiedzia, nawiązując do Mickiewiczowskiej epopei, trąbiłem na waltorni coś wolnego w niskim rejestrze instrumentu. W ten niewyszukany sposób różne zwierzątka po takiej trasie miały dziesiątki muzycznych wariantów. Dopiero kiedy podjąłem pracę jako waltornista w Państwowej Filharmonii w Poznaniu i gdy szykowałem się ponownie do wyjazdu w podobną trasę, mój serdeczny kolega z grupy stwierdził, że ma w domu jakiś stary kalendarz po zmarłym dziadku myśliwym, w którym są jakieś nuty. Okazało się, że jest to „Kalendarz myśliwski na 1959 rok". Od tej pory „Zająca na rozkładzie" grałem zgodnie z zapisem nutowym, natomiast sygnały na misia dalej wymyślałem, bo w kalendarzu takiego zewu nie było. Takie były moje prapoczątki w obszarze muzyki myśliwskiej...

W 1979 roku z inicjatywy Mietka Leśniczaka powstało Poznańskie Trio Instrumentów Dętych Blaszanych. I w ten sposób zaczęła się nasza wieloletnia współpraca. Z czasem zespół zaczął ewoluować, by ostatecznie stać się Capellą Zamku Rydzyńskiego – Reprezentacyjnym Zespołem Muzyki Myśliwskiej PZŁ. W naszym repertuarze pojawił się blok poświęcony muzyce myśliwskiej. Graliśmy sygnały zgodnie z ówczesnym zapisem na rogach myśliwskich, czyli na plesach, parforsach. Przygotowywałem dla naszego zespołu różne opracowania ze zdobytych nut niemieckich i austriackich. W 1997 roku zostałem nominowany przez Zarząd Główny PZŁ na jurora sygnalistyki myśliwskiej. Coraz bardziej zaczęła mnie wciągać muzyka myśliwska, o której jednak wciąż niewiele wiedziałem. Dopiero zdobycie jedynej wówczas książki poświęconej tym zagadnieniom, a mianowicie „Myślistwo a muzyka" autorstwa prof. Witołda Ziembickiego, wydanej w 1937 roku, i zawarte tam informacje o dawnej muzyce myśliwskiej rozbudziły moją wyobraźnię. Od tej pory zacząłem wer-

tować wszystko, co się dało. Przeszukiwałem zasoby nutowe różnych bibliotek, m.in. Poznania, Torunia, Warszawy i Bóg wie czego jeszcze... Za każdym razem znajdowałem coś ciekawego. Najczęściej były to pieśni solowe albo chóralne z przełomu XIX i XX wieku lub z międzywojnia, czasami jakaś zapomniana fanfara. Któregoś razu mój serdeczny przyjaciel z Chrzypska Wielkiego, Janusz Wylegała, którego dzieci przez kilka lat uczyłem grać na trąbkach i waltorni, stwierdził, że skoro zajmuję się tak na poważnie muzyką łowiecką, to powinienem zostać myśliwym. Zacząłem więc chodzić z nim jako obserwator na polowania, przy okazji ogrywać pokot, a wspólnie z nim biesiady. Janusz grał na parforsie i na akordeonie. Ostatecznie skończyło się to moim wstąpieniem do PZŁ, a w 2004 roku zostałem rycerzem św. Huberta.

– Mam wrażenie, że na przestrzeni ostatnich lat bardziej koncentrujesz się, nie tylko zawodowo, na muzyce niż na łowach?

– Rzeczywiście, na początku swojego łowieckiego żywota w miarę często jeździłem na polowania, przede wszystkim zbiorowe. W ostatnim czasie szczególną przyjemność sprawiają mi wyjścia na gęsi. Jakichś specjalnych sukcesów łowieckich nie osiągnąłem, ale też specjalnie o to nie zabiegam. Teraz najważniejsze jest dla mnie wyjście do lasu lub w pole, wsłuchiwanie się w tę cudowną fonosferę – w dźwięki natury. Ale koniecznie muszę mieć przy sobie strzelbę, bo wtedy wiem, że nie jestem na spacerze, tylko na polowaniu, i wówczas do głowy przychodzą mi najlepsze muzyczne tematy. Bywa, że zanim wrócę do domu, ulatują z pamięci. Jednak nie przejmuję się tym specjalnie, bo moje myśli krążą wokoło tematu, a więc jakiś proces twórczy już ma miejsce. Przy krótkich formach, takich jak hejnały kół łowieckich, hejnały zespołów, stowarzyszeń, konkursów staram się zawsze znaleźć jakiś zwrot melodyczny charakterystyczny dla poszczególnych kompozycji. W 2010 roku zostałem zaproszony jako prezes oddziału poznańskiego KKiKŁ na 10-lecie istnienia oddziału gorzowskiego naszego Klubu. Uroczystość połączona była z odsłonięciem obelisku w Rezerwacie Przyrody „Janie" upamiętniającego postać Włodzimierza Korsaka – wybitnego przyrodnika, wielkiego myśliwego, pisarza łowieckiego, na którego dziełach wychowało się wiele pokoleń młodzieży. Specjalnie na tę okazję napisałem utwór na zespół rogów myśliwskich zatytułowany „Synowi polskiej kniei – Fanfara na cześć Włodzimierza Korsaka", który podarowałem gorzowskiemu KKiKŁ. Ale zanim to nastąpiło, jeszcze raz przestudiowałem faksymile rękopisu Włodzimierza Korsaka „Minione lata", który znajduje się w mojej bibliotece, by jeszcze lepiej poznać życie tej niezwykłej postaci. Przyszło mi wtedy do głowy, aby z czasem stworzyć cykl kompozycji poświęcony wielkim polskim nemrodom, wspaniałym ludziom, wyjątkowym wydarzeniom. W takim duchu powstała fanfara myśliwska na cześć mojego przyjaciela zmarłego w 2011 roku, Huberta Jurczyszyna – twórcy i pierwszego nadleśniczego w Strzelcach Krajeńskich, zatytułowana „Hubert jest wśród nas". Poświęciłem też utwór twórcy Zakonu Kawalerów Orderu Złotego Jelenia „Pod sztandarem Księcia Jerzego IV Wilhelma". Dedykowałem również kilka kompozycji wybitnym leśnikom, m.in. fanfarę „Stanisław Tomczyk i Jan Krzyszkowski In memoriam", „Na cześć Alfreda Hałasy" – z okazji 85-lecia urodzin. Po lekturze książki „Władysław Janta-Połczyński z Redgoszczy" autorstwa dr. Tomasza Sobalaka – serdecznego klubowego kolegi naszego poznańskiego oddziału kolekcjonerów, który przypomniał wybitną postać wielkopolskiego ziemianina zawzięcie walczącego z niemieckim zaborcą o polskość naszych ziem, protoplastę PZŁ – skomponowałem dwa utwory: pierwszy w formie dostojnego poloneza pt. „W hołdzie Władysławowi Janta-Połczyńskiemu" z podtytułem „Twórcy wielkopolskiego łowiectwa" z 2013 roku oraz krótki uroczysty marsz „Intrada dla Władysława Janta-Połczyńskiego" z 2022 roku. Tymi muzycznymi westchnieniami chciałem przypomnieć tę przez długie lata funkcjonującą w cieniu dziejów naszego Związku ważną postać, niemalże niezauważaną przez warszawskie środowisko działaczy łowieckich. Ten wielki Patriota i Myśliwy dopiero w ostatnich latach zaczął funkcjonować w naszej historyczno-łowieckiej świadomości. Nie sposób o wszystkich moich kompozycjach opowiedzieć podczas tego wywiadu. Na przestrzeni lat powstało ponad 70 dzieł, dłuższych i krótszych, w tym kilka utworów wokalnych, nie licząc wielu opracowań innych kompozytorów polskich i obcych na różne zespoły instrumentalne.

– Myślę, że trudno w obecnych czasach o lepszą promocję łowiectwa niż poprzez kulturę – dlatego chciałbym, abyś się odniósł do takiej kwestii: funkcja łowiectwa w kulturze, a funkcja kulturę w łowiectwie.

– Od wielu lat staram się upowszechniać leśną i łowiecką muzykę, nie tylko tę stworzoną przeze mnie. Udostępniam nuty utworów różnych twórców, jakie posiadam w moich zbiorach, poprzez stronę internetową Klubu Sygnalistów Myśliwskich (www.muzyka.mysliwska.pl). Mam też w swoim dorobku różne opracowania na zespoły instrumentalne. Ostatnio udało mi się dotrzeć do operetki „Polowanie, czyli panicz w beczce" z muzyką Franciszka Ksawerego Zaremby. Ten twórca ze Środy Wielkopolskiej, którego 100. rocznicę śmierci obchodzimy w tym roku, pozostawił po sobie muzykę do wielu komediooper, w tym do dwóch z myśliwskimi wątkami. Parę naście lat wcześniej udało mi się przywrócić do życia i rozpowszechnić kilka śpiewek z jego utworu „Myśliwy, czyli dwoje oczu za jedno". Jak się okazuje, tak płodnego twórcy piosenek o tematyce myśliwskiej od niepamiętnych czasów do lat 90. ubiegłego wieku nie było. Franciszek K. Zaremba w tych dwóch komediooperach umieścił jedenaście prostych, bardzo zgrabnych melodii, takich jak: „Przy huku strzelb i dźwięku trąb", „Bracia do boru", „Szukanie kuropatw", „Zaczęły się łowy", „Miły spoczynek po trudzie" etc. Tak krok po kroku udało mi się zebrać polski repertuar wokalny ten dawniejszy i w dużej części współczesny. Mam w swoich zbiorach już ponad 200 pieśni i piosenek myśliwsko-leśnych. Sądziłem, że uda się je wydać 3-4 lata temu, ale nic z tego nie wyszło. Może i dobrze, bo od tamtego czasu jeszcze kilkanaście śpiewek wpadło mi w ręce. Staram się popularyzować polską muzykę łowiecką w różnych mediach, zarówno w Internecie, jak i w regionalnej prasie łowieckiej, z którą współpracuję od wielu lat. Moje artykuły drukowane są w „Biuletynie KKiKŁ", „Myśliwcu Warmińsko-Mazurskim", „Łowcu Świętokrzyskim", „Łowcu Lubelskim", „Z Zielonogórskiej Kniei", w bydgosko-toruńskim „Nemrodzie" i w kilku innych. Jedynym pismem opornym na tę tematykę jest „Łowiec Polski". Szkoda, że obszar naszej muzycznej kultury łowieckiej, naszego narodowego dziedzictwa jest dla czołowego periodyku obojętny. Kilka lat temu prof. Dariusz Gwiazdowicz z poznańskiego Uniwersytetu Przyrodniczego zaproponował mi napisanie książki o muzyce myśliwskiej i leśnej. Zamówienie udało się w miarę sprawnie zrealizować i w 2015 roku Ośrodek Kultury Leśnej w Gołuchowie wydrukował moją wymarzoną publikację „Las i myślistwo w muzyce polskiej". Pięknie wydana, licząca ponad 300 stron książka poświęcona muzycznej kulturze myśliwsko-leśnej jest pierwszą i jak na razie jedyną, jaka ukazała się na rynku wydawniczym w latach powojennych. Polska muzykologia w ogóle muzyką łowiecką się nie interesuje. Nie znam jakiejkolwiek naukowej publikacji w tym obszarze, a jeżeli już coś się pojawia, to jedynie w śladowym zakresie. Brakuje porządnej naukowej pracy. No cóż, wstyd dla polskiej nauki (zapewne niejedyny). Od dłuższego czasu nie umiałem zaakceptować muzycznej liturgii mszy hubertowskiej wykonywanej przez nasze zespoły. Używanie wybranych sygnałów myśliwskich do oprawy mszy św. było dla mnie takim „małym świętokradztwem". Ansamble dysponujące wentylowymi plesami wykorzystywały „Mszę hubertowską" Reinholda Stiefa, która w oryginale przeznaczona była na parforsy w stroju Es, ale wyjątkowo rzadko wykonywano ją w tej wersji. Kilkanaście lat temu nie było w kraju zespołów o takim instrumentarium. Nie znaczy, że nie mieliśmy rodzimych mszy hubertowskich. Była „Polska msza myśliwska" bydgoskiego kompozytora Lecha Głowickiego, lecz na dużą orkiestrę dętą, była też „Msza św. Huberta na trompe de chasse i organy" Mariana Sawy. Niestety oba utwory nie nadawały się ze względów technicznych do wykonywania przez zespoły myśliwskie grające na naturalnych rogach myśliwskich w stroju B. Żeby temu zaradzić, postanowiłem tę lukę wypełnić. Pierwsze fragmenty mojej mszy powstały w pierwszych latach XXI w., reszta znacznie później. Dziesięcioczęściowa „Msza hubertowska" na zespół naturalnych rogów myśliwskich w stroju B ukazała się drukiem w 2019 roku. Wydana została przez Klub Sygnalistów Myśliwskich PZŁ. Staram się propagować polską muzykę myśliwską nie tylko swoją, ale przede wszystkim innych kompozytorów. A od dobrych kilku lat jest w czym wybierać. Powstało tyle pięknych dzieł Czesława Trybusa, Romana Idzikowskiego, Józefa Czerniaka, Piotra Grzywacza, Macieja Kamińskiego,

Karola Kroskowskiego i wielu, wielu innych. W tych trudnych dla myśliwych czasach niesłychanie ważne jest ukazywanie naszej łowieckiej kultury. Muzyka we wszelkiej jej odmianach, ale także obraz i słowo są zawsze ciepło przyjmowane przez społeczność niemyśliwską. Tę część naszego narodowego dziedzictwa, które obejmuje wymienione powyżej obszary kultury, należy upowszechniać wszelkimi sposobami. W obecnych czasach jest kilka płaszczyzn, gdzie promowanie łowiectwa wywołuje pozytywne społeczne emocje. Mam tu na myśli kynologię, sokolnictwo, kulinaria, wystawy kolekcjonerskie. I już na zakończenie o symbiozie muzyki, słowa i obrazu: Na 100-lecie PZŁ z moim przyjacielem Piotrem Cebernikiem i zespołem „Babrzysko" działającym przy poznańskim Zarządzie Okręgowym przygotowujemy swoisty spektakl wizualno-słowno-muzyczny. Połowa pracy już na szczęście za nami. Wierzę, że święci patroni będą nas mieć w swojej opiece.

Darzbór!

Explora & Fauneta

Tekst: Jacek Seniów
Zdjęcia: Westley Richards

Nie ulega wątpliwości, że model używanej broni zależy od rodzaju i warunków polowania. Oczywiste jest też, że złożoność sytuacji, w jakich może znaleźć się myśliwy lub eksplorator nowych przestrzeni, stawia broni szerokie wymagania dotyczące praktycznej funkcjonalności. Do tego dochodzi też problem wagi: ileż tego „żelastwa", przydatnego w różnych okolicznościach, można mieć ze sobą na ramieniu…

Wszystkie te kwestie stały się bodźcem do poszukiwania broni wszechstronnej. Broni, której jeden egzemplarz mógłby sprostać wszelkim, a w każdym razie wielu oczekiwaniom. Pokłosiem tych poszukiwań jest niewątpliwie broń, którą zwiemy kombinowaną, a która jest połączeniem różnych wzajemnych układów luf gładkich i gwintowanych. Broń taka stała się specjalnością kontynentalnej Europy, a zwłaszcza krajów związanych z niemiecką kulturą łowiecką. Problem wszechstronności broni starano się rozwiązać również poprzez stworzenie uniwersalnej lufy, mogącej jednocześnie dobrze strzelać i śrutem, i kulami. W 1885 roku pułkownik George Vincent Fosbery przedstawił projekt budowy lufy gładkiej, która na określonym odcinku przed wylotem posiadała odpowiednio nacięty gwint. Dzięki temu można było strzelać z niej zarówno śrutem, jak i pociskiem kulowym, który był wówczas zbliżony budową do naszej współczesnej breneki. Nowy projekt umożliwiał oddawanie strzałów z dobrym pokryciem śrutem na dystansie ok. 40 metrów i celnych strzałów kulami na odległość 80–100 metrów. W 1886 roku firma Holland & Holland rozpoczęła produkcję broni z takimi lufami o nazwie Paradox, która nawiązywała właśnie do dziwności luf. Dla porządku rzeczy należy wspomnieć o tak zwanym Paradoksie francuskim, który miał gwintowanie łagodniejsze, nie tak głęboko nacięte, ale za to biegnące praktycznie niemal na całej długości lufy. Rozwiązanie to nie spotkało się z szerszym zainteresowaniem i kontynent generalnie pozostał wierny połączeniu kilku „czystych" luf. Myślę, że na popularność Paradoksu miał wpływ teren łowiecki, który zainspirował jego twórcę, tzn. Indie. Nie oznacza to oczywiście, że używanie takiej broni ograniczyło się tylko do nich. Paradox szybko podbił Afrykę i dotarł nawet do Arktyki.

Problematyka wszechstronności broni nie była obca znanej w świecie ze swojej innowacyjności firmie Westley Richards, która w odpowiedzi na Paradoksa wypuściła broń o nazwie Explora, produkowaną w kalibrach od ósemki, a nawet szóstki, do dwunastki. Zdarzały się, na specjalne zamówienie, i czwórki. Pamiętajmy, że jesteśmy jeszcze w erze prochu dymnego, popularne są nadal lufy dziwerowane, choć broń odtylcowa zdecydowanie już wyparła odprzodową, a kurki schowały się w baskilach. Numeracja kalibrów sugeruje nam „prawdziwą myśliwską artylerię". W tamtych czasach poznawanie nowych kontynentów, nowych nieznanych przestrzeni łączyło się w sposób naturalny z polowaniem, które zdobywcom zapewniało pożywienie. Myślę, że nazwa Explora nie była przypadkowa. Sugerowała, że jest nieodzowna dla myśliwych i eksploratorów.

Zastosowanie prochu bezdymnego, jak i zmiana technologii produkcji luf, które zaczęły wypierać lufy dziwerowane, zrewolucjonizowały broń myśliwską, przede wszystkim zmniejszając znacząco jej wagę. Uczyniły ją bardziej poręczną i nie wymagającą tak wielkiego wysiłku fizycznego podczas strzelania. Podstawowym kalibrem Explory stała się dwunastka, a broń była oferowana w pionowym układzie luf. Jeśli była zamawiana na długich zamkach, to korzystano z firmowej konstrukcji Ovundo, umożliwiającej inspekcję mechanizmów bez rozbierania zamków. Oczywiście były też Explory wykonywane w innych kalibrach. Szczególnie zwróciłbym uwagę na egzemplarze w kalibrach 20 i 28. Perełki te miały swoją własną nazwę – Faunetta i trafiały głównie na rynek indyjski.

W 1909 roku znakomity konstruktor i wynalazca związany z firmą Westley Richards Leslie Taylor wprowadził nową konstrukcję pocisku – pocisk z płaszczem. Ołowiany rdzeń został obudowany mosiężnym płaszczem. Tak zwany LT bullet pozwalał na oddanie 6 strzałów plasujących się w polu 10 x 6 cm na dystansie 300 jardów, czyli ok. 275 metrów. To już było coś. Wprowadzenie takiego pocisku wraz z prochem bezdymnym i innymi innowacjami spowodowało dalsze udoskonalenia Explory i doprowadziło firmę Westley Richards do stworzenia Magnum Explory, a w zasadzie od razu do Super Magnum Explory. Tak pisał o niej w 1911 roku korespondent „Country Life": „Broń ta jest sama w sobie klasą wśród broni myśliwskiej. O ile Explora była bronią śrutową pozwalającą celnie strzelać pociskiem kulowym, to Super Magnum Explora stała się bronią kulową pozwalającą na dobry strzał śrutem w razie zaistnienia takiej konieczności".

Broń o takich walorach nie uszła uwadze zdobywcy obu biegunów, wybitnego eksploratora kręgów polarnych, a i myśliwego, Norwega Roalda Amundsena (1872–1928), znanego z niezwykle starannego, drobiazgowego planowania swoich ekspedycji. W lipcu 1916 roku zamówił u Westley Richardsa kilka karabinów Super Magnum Explora w kalibrze 12. Karabiny miały być zaopatrzone w zamki typu droplock (konstrukcję tę omówiłem w 12. numerze Pasji). Amunicja miała mieć 32-gramowe pociski typu LT bullet w metalowych gilzach, uszczelnione odpo-

wiednio do użycia w warunkach Arktyki i pakowane po 25 sztuk w metalowych puszkach. Zamówienie było związane z przygotowaniami do wyprawy mającej wyznaczyć Przejście Północno-Wschodnie, czyli morski szlak łączący Atlantyk z Pacyfikiem (Przejście Północno–Zachodnie wyznaczono w latach 1903–1906). Ku Super Magnum Explorze kierowało Amundsena bogate doświadczenie, jakie zdobył przez wszystkie lata swojej aktywności, a które przedstawił w wydanej w 1927 roku książce „My Life as Explorer". Opisuje tam między innymi, jak ratował zdrowie i życie współtowarzyszy wyprawy, zaopatrując ich w świeże mięso ssaków i ptaków, lub bronił się przed atakiem rozwścieczonego niedźwiedzia. I mała dygresja: ciekawostką jest używanie przez zdobywców Arktyki i Antarktyki skór pingwinich do wyrobu mat, które zabezpieczały burty łodzi przed skutkami kolizji z krami i górami lodowymi…

Ale wracając do naszej Super Magnum Explory… Absolutnym unikatem jest zapisana w księdze zamówień w roku 1923 broń o numerze 17889. Jednolufowa Super Magnum Explora w kalibrze 12. Pojedyncza lufa, pojedynczy krótki zamek typu droplock, posiadająca wszelkie inne typowe dla Westley Richardsa rozwiązania, jak czółenko Deeley & Edge'a,

Roald Amundsen

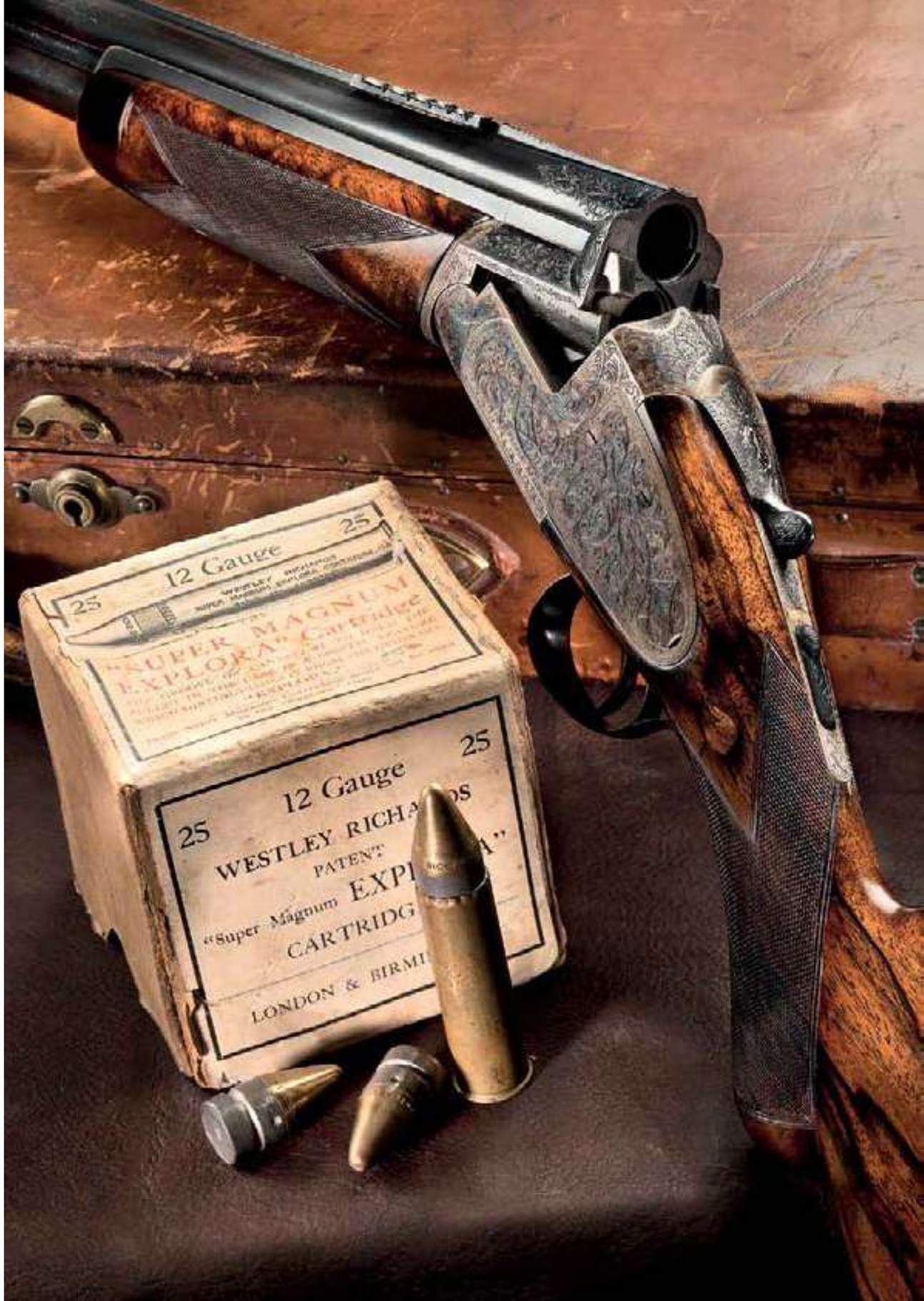

klucz zamykający broń ze sworzniem w kształcie doll's head etc. Dopiero wprawne oko dostrzeże pewne drobne zmiany, jak choćby zapożyczony specjalnie z konstrukcji Ovundo podwójny bolec obsługujący sprężynę zamiast dodatkowego sworznia zabezpieczającego blokadę zamknięcia doll's head. Zamawiającym broń była firma tekstylna „Kapadia Merwaniji" z Bombaju. Specyfikacja zamówienia zawiera też amunicję. Po 50 sztuk amunicji śrutowej o numerach śrutu 8, 5, 2 i loftek oraz 100 sztuk amunicji kulowej. Listki szczerbin pokazują dystanse 100, 150, 200, 250 i 300 jardów, na które broń była przystrzelana. Uwagę zwracają piękne, niezwykle precyzyjnie wykonane bogate grawerunki. Pojawiający się na nich wizerunek tygrysa może sugerować, iż miała to być broń do polowania na tego wielkiego kota. Widać pozostałości kolorowego hartowania baskil. Obecnie i tygrys, i taka broń są już rarytasami. Panujące w Indiach warunki klimatyczne nigdy nie były i wciąż nie są sprzyjające dla utrzymania broni w dobrej kondycji. Tygrys i ta broń, aby mogły świadczyć o minionych czasach, wymagają odpowiednich starań ochronnych. Szczęśliwie prezentowany egzemplarz zachował się w stanie niemalże idealnym. Jest zapisem historycznym kultury materialnej minionej epoki, tak odmiennej od naszej. Obcowanie z nim pozwala na podróż w czasie… Ten niezwykły karabin jest jak książka, która przenosi nas do lat minionych, a jednocześnie jest pomostem między dawnymi a współczesnymi czasami. Fizyczne obcowanie z takim przedmiotem jest jednak czymś więcej niż czytanie książki. Trudno sprecyzować fluidy płynące ze starego sprzętu, który posiada „duszę" i „wspomnienia" dawnych lat. To właśnie takie piękne rzeczy wzbogacają różnorodność naszej kultury materialnej. Doceniają to zwłaszcza pasjonaci kolekcjonerzy. Jednym z nich jest amerykański myśliwy, bostończyk Silvio Calabri, który nabył Explorę czarnoprochową o numerze 17417. W zasadzie jest to egzemplarz muzealny w potężnym kalibrze 8 z dziwerowanymi lufami o pięknym wzorze skucia. Zgodnie z książką zamówień broń ta została wykonana w 1912 roku dla firmy Manton & Co w Kalkucie. Prawdziwa myśliwska ciężka artyleria na grubego zwierza, wymagająca od strzelca nie byle jakiej siły. Nadmienię, iż nabyty egzemplarz, niezaładowany, waży 6,89 kg. Ten, kto posługuje się w ogóle bronią, zdaje sobie sprawę z generowanego odrzutu przy takiej masie własnej netto, bez amunicji i innych akcesoriów. Egzemplarze takie noszą miano „kruszycieli ramion" i nie wybaczają żadnych błędów składu. Pocisk o wadze ponad 65 gramów opuszczający lufę z prędkością ca 430 m/s gwarantuje odrzut istotnie większy niż słynny afrykański klasyk, jakim jest .470 Nitro Expres. Silvio nie tylko zadbał o stan karabinu, ale postanowił odbyć z nim swoistą podróż do minionych czasów. Postanowił przenieść się wraz ze swoją Explorą do Złotej Epoki Afrykańskiego Safari i zapolować na afrykańskiego bawoła. Problemem numer jeden przeszkadzającym w realizacji tego zamiaru była amunicja – absolutnie niedostępna na współczesnym rynku. Pozostała elaboracja własna, a ta wymagała wykonania specjalistycznego oprzyrządowania pod rozmiary pocisku. Dostępne były jedynie mosiężne łuski, które wykonywał jeden z amerykańskich producentów. Z pomocą Silvio przyszedł ze swoim warsztatem przyjaciel i towarzysz łowów Mike Stumbo. Skonstruowanie stosownych pocisków, eksperymenty z doborem rodzaju i naważek prochu etc. zajęły mu dwa lata. W czasach, kiedy Explory były powszechnie używane, nikt nie zawracał sobie głowy urzędowymi normami, jakie ma spełniać broń. Jeśli myśliwy chciał przeżyć, to miał mieć skuteczny karabin. Teraz sprawa miała się inaczej. Te wymagania okazały się kolejnym niebagatelnym wyzwaniem w przygotowaniu właściwej amunicji. W to wszystko wmieszała się jeszcze pandemia, która niewątpliwie nie przyspieszyła prac nad nabojami. Całość tych starań to niezwykle interesujący i obszerny materiał na osobny artykuł. Finał całego przedsięwzięcia miał miejsce w Namibii u Jofie Lamprechta w jego łowieckim obozie Mukongo Camp nad rzeką Okawango. Podchód dwóch starych byków, w gwarze myśliwych zwanych Daga Boys, zakończył grzmot Explory z 25 jardów. Strzał złożył bawoła niemal w ogniu, pokazując potęgę tej broni mogącej zatrzymać nawet najgrubszego zwierza. Sam myśliwy tak to podsumował: „Cieszę się, że tego dokonałem i że nikt przy tym nie ucierpiał. Jestem szczęśliwy, że mogłem przeżyć te wszystkie wspaniałe chwile z rusznikarskim dziełem Westley Richards i naprawdę jestem zadowolony, że nie muszę strzelać jeszcze raz". Mnie natomiast cieszy, że są ludzie z tak wielką pasją, która czyni te relikty dawnych czasów ciągle żywymi.

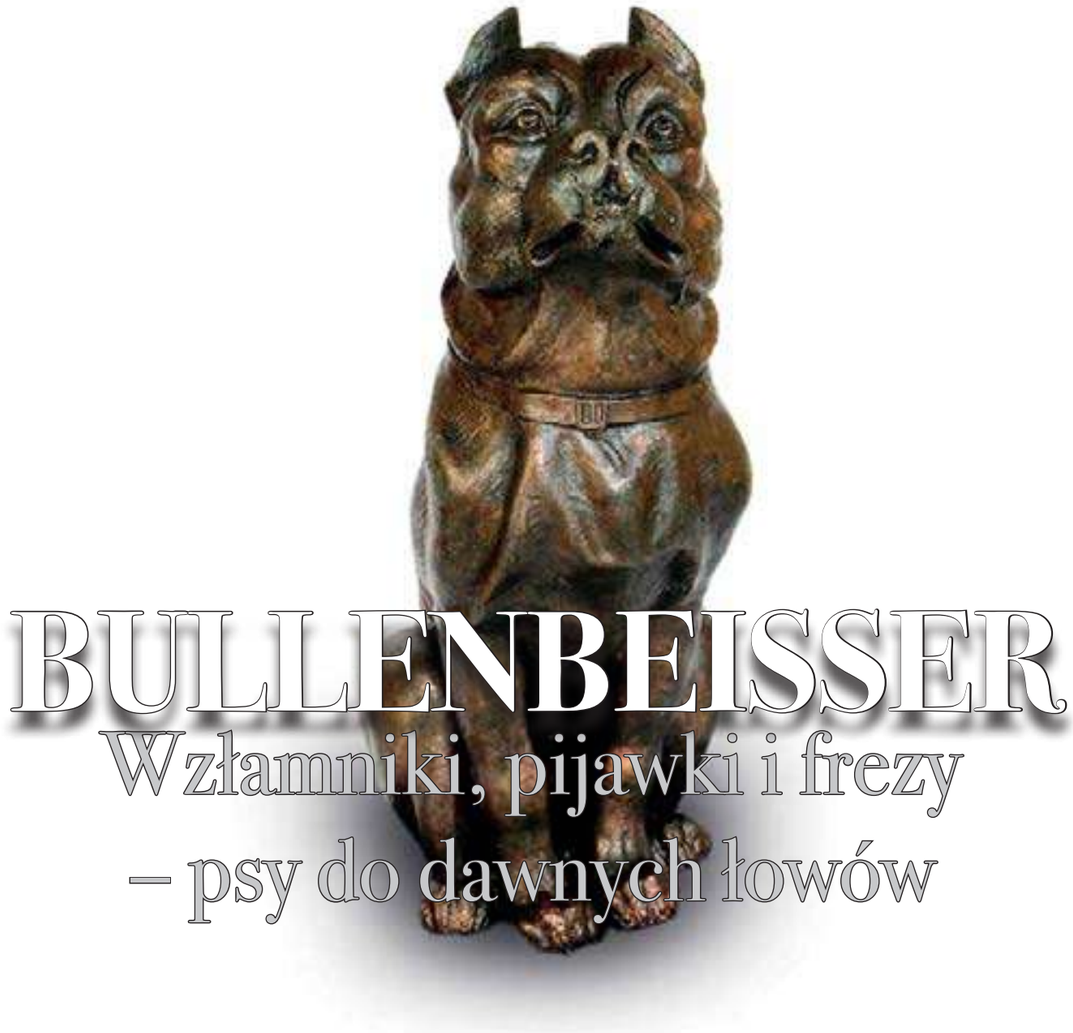

BULLENBEISSER
Wzłamniki, pijawki i frezy – psy do dawnych łowów

Tekst: Gabriela Łakomik-Kaszuba
Zdjęcie: Archiwum autorki

Psy do polowań przemocowych towarzyszyły łowcom z państwa Polan już w X wieku. Również w innych krajach duże i silne psy w typie dogowatym były nieodzownymi pomocnikami wojennymi, stróżującymi i łowczymi. Sięgając głębiej i śledząc ich proweniencję natrafimy na silne, sprawne i bezkompromisowe psy myśliwskie na grubą zwierzynę, które w wiekach nam bliższych stały się komponentami do ustalenia psów ras obronnych i stróżujących. O ich znaczeniu i wartości świadczy umieszczanie ich podobizn na płótnach, sztychach, rzeźbach, a nawet monetach.

Spójrzmy na zamieszczoną rzeźbę krótkowłosego, typowego przedstawiciela psów używanych do łowów. Respektu i powagi dodają psu symetryczne, krótko przy głowie kopiowane małżowiny uszne, odsłaniające ich wnętrza. Zabieg ten był wykonywany powszechnie u psów pracujących, nie będąc fanaberią estetyczną, ale koniecznością zabezpieczenia cennych psich pomocników przed chwytem za ucho, jego zranieniem i upływem krwi.

Myśliwska przeszłość

O wielkich psach Germanów, które tak samo dobrze sprawdzały się w borze, jak i na polu bitwy, wspomina Władysław Spausta (1895): „Pies starogermański, podczas pierwszego zetknięcia się tych narodów z potęgą Rzymian, musiał być jakiemś podobnem stworzeniem jak obecny pies narodów myśliwskich w niektórych zakątkach Europy. Pies ten […] towarzyszył w czasach wojny pochodowi i taborom, a gdy w r. 101 przed Chr. oręż rzymski pokonał wreszcie najezdnicze hordy Cymbrów na polach pod Weroną, gdy już brakło mężów, musieli Rzymianie walczyć z kobietami a wreszcie z zajadłymi psami, strzegącymi do upadłego prowiantów i bagaży poległych swych panów. Były to niezawodnie te same psy, które strzegąc w czasie pokoju idylli domowej, lub ugania-jąc przy dźwięku rogów za turem i niedźwiedziem, towarzyszyły swym panom i na pola Marsowe".

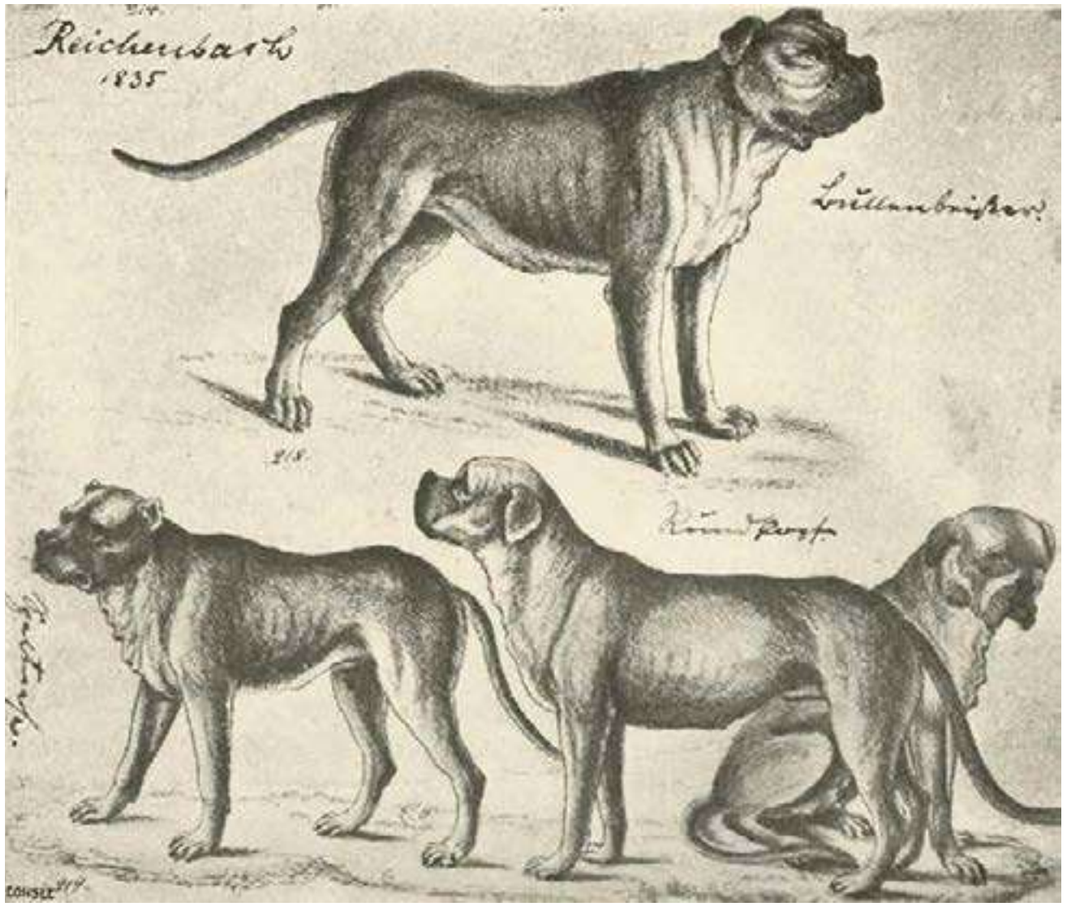

W czasach kiedy nie znaliśmy broni palnej, na polowaniach dominowały: oszczep, rohatyna, topór i kordelas – broń biała (ręczna), którą można było użyć wyłącznie po bliskim podejściu do zwierza. Z dalszej odległości w kierunku osaczonej przez psy zwierzyny wypuszczano strzały z kuszy lub z łuku. Tak polowano na tury, żubry, dziki, niedźwiedzie, jelenie i łosie. Nie byłoby to możliwe, gdyby wcześniej nie wytropiły ich i nie osaczyły psy, zdolne do skutecznego przytrzymania śmiertelnie niebezpiecznego przeciwnika. Polowały one zawsze zgrają, a były do tego celu specjalnie przyuczane, hodowane i selekcjonowane pod względem zdolności myśliwskich i współpracy. Różne nacje strzegły ich zazdrośnie, były bowiem cenne i przydatne również podczas wojen. Zwycięzcy zabierali je wraz z innymi łupami. Psy zdobyczne wzbogacały pulę genową miejscowych czworonogów. Darowywano je niekiedy jako znak szacunku lub cenny podarek zaprzyjaźnionym możnym lub w celu przypodobania się władcy. Psy do udziału w polowaniach lub w walkach były specjalnie szkolone, zaopatrywane w kolczaste obroże, pikowane pancerze lub nawet zbroje, chroniące je przed urazami.

Dawne wielkie i silne psy zwane przez niektórych autorów molosami, a przez innych psami dogowatymi służyły do różnych zadań. Czasy, w których zosta-

ły ukształtowane w różnych rejonach globu, należą do bardzo odległych. Artefakty z początku naszej ery lub wcześniejsze pokazują, jak wyglądały. Charakterystyczne dla nich były potężne głowy, silny kościec i zdecydowany charakter. Wszystkie te cechy były przydatne na łowach, podczas bitew, ochrony osad i grodów, a także zapewniały bezpieczeństwo w podróży. Sporo wizerunków psów z grupy dogów znajdujemy w pozostałościach po kulturach asyryjskiej, babilońskiej i oczywiście greckiej. Prof. Otto Keller pisał o przodku Bullenbeissera, wskazując na charakterystyczną głowę, która znajduje się na monecie z Amphilochian Argos (środkowo-zachodnia Grecja, 350–300 lat p.n.e.).

Z królewskiej mennicy

Ciekawym artefaktem wybitym w 1620 roku jest niewielka srebrna moneta z wizerunkiem silnego psa z kopiowanymi uszami i ogonem, co jednoznacznie definiuje jego przeznaczenie do łowów i być może do obrony oraz stróżowania podczas wypraw wojennych. Omawianym przedmiotem jest srebrny szeląg z czasów Zygmunta III Wazy (1587-1632) – króla polskiego, szwedzkiego i wielkiego księcia litewskiego, w którego żyłach płynęła krew Jagiellonów. Władca ten był miłośnikiem sztuk pięknych, sam parał się malarstwem, złotnictwem oraz grał na klawikordzie. Nie stronił również od piękna przyrody, którą podziwiał między innymi na łowach. Powierzył edukację swoich dzieci m.in. Janowi hrabiemu Ostrorogowi, wojewodzie poznańskiemu, który dedykował swoją monografię zatytułowaną „Myślistwo z ogary" synowi Zygmunta, królewiczowi Władysławowi. To u Ostroroga znajdujemy psy „do zapasów służące" – zwane frezami.

Srebrny szeląg ma średnicę 15 mm i na jego obrzeżu zachowała się sylwetka biegnącego silnego i sprawnego psa myśliwskiego, który z pewnością stanowił niejednego dzikiego zwierza, a okazał się na tyle wartościowy, że król postanowił wybić jego sylwetkę na monecie. Jest to chyba jedyna polska moneta z dawnych wieków z wizerunkiem psa.

Na ziemiach polskich

W epopei Adama Mickiewicza „Pan Tadeusz" z lat 1811 i 1812, której akcja dzieje się na Litwie, w krainie nieprzebytych borów bogatych w dzikiego zwierza, znajdujemy bardzo realistycznie opisany fragment polowania na niedźwiedzia. W księdze czwartej zatytułowanej „Dyplomatyka i łowy" wieszcz oddał dramaturgię i emocje towarzyszące łowcom oraz pracę psich pomocników. Zacytujmy go więc:

Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną
Na przełaj zwierza, między ostępem i puszczą;
A niedźwiedź, odstraszony psów i ludzi tłuszczą,
Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone…
Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź
na kształt gromu;
Wkoło psy gonią, straszą, rwą, on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi,
I przednimi łapami to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi…
Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami
I głową w dół runął, i czterema łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemię
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły…

Ten fragment dawnych leśnych zmagań, poprzedzający opis gry Wojskiego na rogu, podkreśla nieodzowność i ważność czworonożnych gladiatorów, niejednokrotnie kładących na szalę zwycięstwa swoje życie.

W „Kynegetice" Władysława Spausty (1895) znajdziemy bardzo dobry obraz polskiego łowiectwa z czasów piastowskich, kiedy w przechytrzeniu i walce z dzikim zwierzem mogliśmy polegać jedynie na własnym sprycie, harcie ducha, sprawności fizycznej i sile. W polowaniach tych bez psiej pomocy nie zdziałalibyśmy prawie nic. Ten wybitny znawca historii polskiego łowiectwa opisał wspólne zmagania w ten sposób: „Łowiectwo grubego zwierza, do którego u nas zaliczano tury, żubry, niedźwiedzie, jelenie a względnie rysie i łosie, warowane było nawet w najdalej sięgających przywilejach Piastów na rzecz korony – a zwierzyna ta sama przez się mówi o rasach i zawodach psów, jakich psiarnie królewskie do takich łowów wymagały. Były to w całem (!) tego słowa znaczeniu walki leśne, w których myśliwi z białą bronią wyczekiwali dogodnej chwili, aby zbliżyć się do osaczonego przez ciężkie psy zwierza, albo konno ścigali wraz z psami płochego łosia lub jelenia. W łowach takich rohatyna i oszczep przy pomocy psów dokazywały cudów, a potężny zwierz nie dozwalał użycia sieci…".

O tym, że silne psy do łowów na grubego zwierza były w państwie Polan znane, hodowane i używane, wspomina również Łukasz Gołębiowski (1831). Mieliśmy nawet własną odmianę, lokalnie nazwaną wzłamnikami. Wspomniany autor napisał o nich: „Wzłamniki, które, jak rozumiem, od łamania się z najsilniejszym zwierzem mianowano, i dla tego brytanom właściwe to przezwanie, wspomniane w rejestrach za tegoż króla (Zygmunta Augusta, przyp. autorki), przez Wlosska utrzymywanych, które Tytus hr. Działyński posiada". Wymienia też pijawki – angielskie, duńskie, mediolańskie, które „wielkością swą i siłą zastanawiają". Co ciekawe, te psy zwane brytanami (co u nas oznaczało wielkiego psa), wzłamnikami lub pijawkami – od wgryzania się w skórę zwierza, zabezpieczano pancerzami i przed wyprawą do lasu drążkowano. Owo „drążkowanie" było łączeniem dwóch psów w pary za pomocą mocnego drąga (często też pręta żelaznego), do którego przypinano łańcuchem psy za obroże. Zapewniało to utrzymanie porządku i zapobiegało spięciom u krewkich czworonożnych łowców. Oczywiste było, że psy tak zdrążkowane musiały się znać. Często parowano psa starszego i doświadczonego z młodym, który starszego naśladował i uczył się posłusznie chodzić na uwięzi. Za zagubionego psa (brytana) wypłacono w roku 1570 znaleźne w niebagatelnej wysokości 4 zł 20 groszy. Świadczy to dobitnie o wartości dobrych psów do osaczania grubego zwierza. Król Zygmunt August (1520-1572) lubował się wielce w łowach na różną zwierzynę, ale najbardziej na grubą, która należała do najcenniejszej i prawo polowania miał na

nią jedynie władca lub nieliczne osoby, którym tego prawa udzielił. W jego psiarniach znajdowały się psy mediolańskie, brytańskie oraz niezliczone sfory psów gończych, smycze chartów, wyżły, śledniki i inne. Ciekawe, do jakiej rasy należały ulubione psy króla – Gryf (zwany również Greixem) i Sybilla?

W X tomie „Sylwana" z 1834 roku anonimowy autor opisał sposoby polowania na grubą zwierzynę z psami w typie naszych bohaterów. Choć nie wymienia ich nazwy, możemy przypuszczać, że były to również niemieckie Bullenbeissery, u nas zwane po prostu pospolicie „pijawkami" lub „brytanami". Zacytujmy więc: „Do takich łowów wywodzono psy do szczwania grubej zwierzyny sposobne, to jest: brytany lub pijawki, które dotrzymawszy odyńca, stanowiły go, poczem odrywano je od ujętej zdobyczy i znowu ją na wolność puszczano; nie prędko już ostanowiła dzika ścigająca go złaja, a wytrwały bieg jego, i częste okładanie, tem więcej podobne łowy trudnemi czyniły". Były to tak zwane łowy par force – do ugonienia lub sforsowania grubego zwierza, podobne, ale nie takie same jak par forsy z gończymi. Te ostatnie miały specjalny, ściśle przestrzegany ceremoniał – nieco inny w różnych krajach. Dalej autor wspomina o mniej cennych kundlach (lub jak nieraz je określano „kondlach"), również używanych do stanowienia dzika, puszczanych na niego z mniejszą ostrożnością i zabezpieczeniem: „Pospolicie zaś do łowów na dzika używano kundla; skoro ostanowiony został, myśliwcy piesi ubijali go strzałą i oszczepem, konni zaś używali wielkiego obusiecznego miecza, wyłącznie na ten cel urządzonego. Jeżeli szczwano go (dzika) brytanami lub pijawkami, ubijano podobnie jak w dzisiejszych czasach (mowa tu o pierwszej połowie XIX wieku – przyp. autorki) przez zadanie razu na komorę. O ile niebezpiecznem było polowanie na odyńca, sądzić możemy z przysłowia: Gdy łowczy sam jeden z trzema psami naciera, pospolicie legnie odyniec, lecz zarazem i łowczy wraz z dwoma jego psami. Szczęście, że podobne wypadki są rzadkie". Co bardzo ciekawe, przysłowie to zacytowano w „Sylwanie" w języku niemieckim, jedynie w przypisach tłumacząc na język polski. Czyż nie świadczy to dobitnie, że używano wówczas do łowów psów z ziem niemieckich, w tym omawianych Bullen- i Bärenbeisserów?

Końcem XIX wieku Stanisław Rewieński w książce „Pies, jego gatunki, rassy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie, choroby i ich leczenie" z roku 1893 roku wspomina dawne psy wykorzystywane do wielkich łowów na ziemiach polskich: „Gatunek […] psa do tego użytku pozostał, a nawet stał się przedmiotem starannej hodowli i dalszego kształcenia, jako psa przydatnego do łowów na dzikiego i drapieżnego zwierza, przed laty może żubra i tura, a do niedawna jeszcze, jak u nas, niedźwiedzia. Ztąd gatunek ten psa znany był od dawna i u nas i hodowany po wielkich, magnackich psiarniach pod bardzo trafną nazwą „pijawki". Pies taki pod względem zajadłości, nie ma sobie równego; skoro raz zwierza chwyci, już go nie puści, choćby miał odnieść rany, narazić się na kalectwo, albo nawet postradać życie w tej walce, co się nieraz zdarzało przy łowach na rozjuszonego niedźwiedzia" (pisownia oryginalna). Te psy na niedźwiedzie to właśnie Bärenbeissery.

Typy i odmiany

Psy z zadartym, często rozdwojonym nosem i z przodozgryzem, od których wywodzą się nasi bohaterowie, występowały na kontynencie, głównie na ziemiach niemieckich i niderlandzkich. Zwano je Bullen- lub Bärenbeisserami, German Mastiffami lub German Bulldogami. Karol Linneusz (1707-1778) psy takie nazywa Bullenbeisser Molosser, a w swoim systemie stosuje łacińską nazwę Canis familiaris molossus Gladiator – co świetnie oddaje charakter i przeznaczenie rasy. Prof. Theophil Rudolf Studer (1845–1922) widział w nich odmianę niemieckich psów dogowatych, silnych i muskularnych, wyróżniając odmiany: dużą, małą i z rozdwojonym nosem. Według Leopolda Josepha Fitzingera (1876) pies w typie Bullenbeissera jest wymieniony w prawie alemańskim pod nazwą Bärenfänger (łapacz niedźwiedzi). Później otrzymał on nazwę Bullenbeisser lub Büsselfänger. Alfred Brehm (1876) w swojej pracy na temat zwierząt ssących również zaznacza obecność Bullenbeisserów, nazywając je Canis familiaris molossus hibernicus i wywodzi je z Irlandii, podobnie jak przodków bokserów, buldogów i dogów z Bordeaux.

Nazwa Bullenbeisser występuje jako druga, po wcześniej używanej – Bärenbeisser, co świadczy o znacznie wcześniejszych zatrudnieniach łowieckich tych psów. Hans Räber w pierwszym tomie „Encyklopedii psów rasowych" (1993, wyd. polskie 1999) potwierdza, że psy w typie pogromców dzikiego zwierza ulegały często kalectwu lub ginęły i dlatego zwykłe, duże psy wiejskie były na łowach również używane. Aby wzmocnić ich odwagę i siłę, wiejskie suki kryto właśnie Bullenbeisserami. Zapewniało to zawsze odpowiednio dużą liczbę psów do łowów. W Niemczech określano je czasem po prostu „Rüde" (samiec), co nie było oznaczeniem płci, tylko określeniem ogólnym dla dużych psów.

Jak wyglądał ten silny łowca? Ten używany do łowów na grubego zwierza był rosły, miał ok. 70- 75 cm wysokości w kłębie, raczej krótki włos w kolorach płowym, rudym, płowym czarno pręgowanym, czarnym lub szarym. Po dolaniu krwi sprowadzanych z Wysp Brytyjskich buldogów psy te zyskały białe znaczenia lub białe tło z łatami w wymienionych kolorach. Ciekawe jest określenie dużej odmiany Bullenbeisserów, którą kilku autorów, m.in. Hans Zimmermann (1933) zwą Danziger Bullenbeisser. Świadczyłoby to o tym, że psy tej rasy występowały na ziemiach polskich i to w niemałej liczbie. Odmiana gdańska była znacznie większa i silniejsza niż tak zwana brabancka, od której wywodzimy przodków współczesnych bokserów. Te ostatnie w okresie ustalania rasy miały swój grudziądzki akcent, gdzie mieszkał i hodował je jeden z pierwszych znawców.

Bardzo charakterystyczna cecha, jaka wyróżniała Bullen- i Bärenbeissery to tak zwany zweinos. Psy z przodozgryzem i zadartym nosem z rozdwojonym lusterkiem były cenione ze względu na łatwiejsze oddychanie podczas długotrwałego chwytu, którego zwierzę nie mogło poprawiać. Należy zaznaczyć, że psy te nie miały zbyt krótkich kuf, a stosunek ich długości do długości mózgoczaszki wynosił ok. 1÷2. Georg Ludwig Hartig (1810) wspomina również o występowaniu u niektórych egzemplarzy szczątkowych ogonów, ale nie było to raczej szczególnie częste.

Ludwig Beckmann (1895) wyczerpująco opisując Bullenbeissera w swoim dwutomowym dziele „Rassen des Hundes" twierdzi, że mniejsza (brabancka) odmiana wyewoluowała około XVI-XVII wieku, kiedy rozwój miast spowodował zapotrzebowanie na psy pracujące przy bydle i zwierzętach gospodarskich. Przestępczość i kradzieże znacznie wzrosły, a stąd już krok do potrzeby utrzymywania psów obronnych i ustalenia psów w typie bokserów.

Na obrazach mistrzów

Przedstawienia Bullenbeisserów i ich kuzynów na dawnych płótnach znajdziemy w wielu galeriach i kolekcjach prywatnych. Są to prace wybitnych artystów tworzących mniej więcej od XVI do XIX wieku. Najczęściej zobaczymy te psy wykorzystywane w łowiectwie – to zajęcie uważano bowiem za najszlachetniejsze, a sukcesy na tym polu przynosiły splendor ich właścicielowi. Łowiectwo były doskonałą wprawą i ćwiczeniem odwagi oraz nieprzeciętnej sprawności, zdobywanej w ten sposób w czasie pokoju, a koniecznej w czasie działań wojennych, najazdów, podczas obrony ziem i grodów. Niedoścignionym mistrzem uwieczniania takich scen był Johann Elias Ridinger (1698-1767), niemiecki malarz, miedziorytnik, grafik i rysownik.

Po przetrzebieniu grubego zwierza w krajach germańskich i na Wyspach Brytyjskich silne i sprawne psy myśliwskie znalazły stopniowo inne zajęcia. Rozwój miast spowodował potrzebę utrzymywania coraz liczniejszych stad zwierząt gospodarskich, których hodowla przenosiła się na obrzeża. Zwierzęta te, często niepokorne, trzeba było przepędzać na targi, pastwiska i do rzeźni. Właściciele po dniach targowych wracając do swoich domów narażeni byli na napady band rabowników. A kto lepiej niż bezkompromisowy zweinos nadawał się na obrońcę mienia i domu swojego chlebodawcy? To w jego obroży często chowano całodzienny utarg. Całkiem dobrze sprawdzały się w tej roli zwierzęta nieco mniejsze, niezwykle sprawne i skuteczne. To one stały się prawdziwie cennymi pomocnikami rzeźników i hodowców bydła. Swój „fach" miały w genach.

Potomkowie i kuzyni

Pokazywanie kłów, z charakterystycznym „przygryzieniem wargi", przodozgryzy, rozszczepy podniebienia i biało-łaciate umaszczenia to nie zawsze pożądane pozostałości po wpływie bullowatych antenatów u współczesnych ras psów dogowatych. Białe tło albo mniej lub bardziej rozległe białe znaczenia przypisujemy wlewkom angielskich buldogów.

Nie jest niespodzianką i nieporozumieniem zapis w niektórych wzorcach psów dogowatych o dopuszczalnym zgryzie cęgowym lub przodozgryzie. Choć cechy te nie zawsze należą do tych tych najbardziej pożądanych, to ich występowanie jest historycznie uzasadnione.

Nie bez znaczenia są również stanowcze charaktery współcześnie żyjących potomków dawnych czworonożnych psów bojowych i łowczych. Nie są to psy szczekliwe, ale zachowały cechy doskonałych stróżów i obrońców swoich właścicieli, ich rodzin i mienia. To psy bezkompromisowe i wymagające dobrego wychowania oraz socjalizacji z przedstawicielami własnego gatunku i innymi zwierzętami, na które mogą skutecznie zapolować. Te skłonności widać już u szczeniąt, które preferują zabawy siłowe.

Do dzisiejszego dnia psy dogowate zachowały również instynkty łowcy i umiejętność wyboru ofiary. Mój gruziński kolega opowiadał niedawno o swoich psach, owczarkach gruzińskich, z którymi razu pewnego przechodził nieopodal lasu. Na polanie psy zobaczyły lekko kulejącego jelenia, na którego natychmiast ruszyły, rozdzielając się, aby skutecznie go osaczyć, choć nigdy nie były psami używanymi do polowań.

Zachowania instynktowne, wyjątkowa wierność i lojalność wobec swojego pana i jego rodziny u współcześnie żyjących potomków psów dogowatych warte są utrwalenia i podkreślenia. Są to psy niepospolite, ale wymagające sporej wiedzy o ich pochodzeniu i właściwym wychowaniu, aby – tak jak przed wiekami – były naszymi towarzyszami, ku obopólnej korzyści.

Z cywilami na łowach

Rozmawiam z Kolegami Piotrem Błońskim (na ilustracji z prawej), przewodniczącym Komisji Kynologicznej przy Zarządzie Okręgowym Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu, oraz Filipem Siochem, jej członkiem i prezesem Koła Łowieckiego Rolnik we Wrocławiu.

– Łowiectwo jest niewątpliwie waszą wielką pasją realizowaną nie tylko w postaci polowania i być może bardziej tu spodziewanego strzelectwa, od którego nie stronicie i macie również na tym polu swoje osiągnięcia, ale w większej mierze rozwijacie ją w takich obszarach kultury łowieckiej jak muzyka i kynologia.

Ty, Piotrze, będąc sędzią lub organizatorem wielu imprez kynologicznych, dostrzegłeś sporą grupę ludzi, którzy, choć nie są myśliwymi, posiadają psy ras myśliwskich. Czy w jakiś sposób nawiązujecie z tymi osobami bliższe relacje? Czy próbujecie zaznajomić ich z kulturą łowiecką?

PB: – Kynologia wydaje się być doskonałą płaszczyzną, na której my myśliwi możemy się spotykać, poznawać i integrować z niepolującymi właścicielami psów ras myśliwskich. Przy okazji obalamy mity na nasz temat i jak to się ładnie mówi „ocieplamy wizerunek myśliwego". Warto tu wspomnieć o tym, że wielu wartościowych ludzi trafiło do łowiectwa poprzez zakup psa rasy myśliwskiej i spotkanie na swojej drodze myśliwych, którzy pomagali im w jego szkoleniu. Takie przypadki są nam znane z autopsji, ponieważ po dwóch latach naszych warsztatów trzy osoby, które brały w nich udział, obecnie odbywają staż w kołach łowieckich! We wrocławskiej Komisji Kynologicznej jesteśmy otwarci na wszystkich psiarzy i gościliśmy już na naszych warsztatach dla początkujących tropowców niemal wszystkie rasy psów myśliwskich. A pojawił się także pies rasy cane corso, którego właścicielką jest stażystka, a już wkrótce członek PZŁ, a także kundelek, przyprowadzony przez polującą parę myśliwych. Oba pieski doskonale radziły sobie z pracą węchową i bez problemu szły przygotowaną przez nas ścieżką tropową. Wszak wszystkie psy żyją w świecie zapachów, węch jest ich najmocniejszym zmysłem i trzeba je tylko ukierunkować do szukania określonego zapachu. Jako miłośnicy polowania z ułożonymi do tego psami ras myśliwskich widzimy potrzebę dzielenia się swoimi doświadczeniami nie tylko z koleżankami i kolegami myśliwymi, ale również z osobami nie będącymi członkami PZŁ, którzy już mają lub dopiero rozważają zakup psa rasy myśliwskiej. Te osoby borykają się często z trudnościami w zdobyciu potrzebnych do szkolenia pomocy, takich jak np. dzicze rapety, badyle jeleni lub cewki saren czy bażanty lub kaczki. Dla nas jest to prostsze. W naszej komisji mamy również doświadczonych szkoleniowców, którzy z sukcesami ułożyli wiele psów, nie tylko zresztą swoich, i chętnie dzielą się swoją wiedzą. Co bardzo ważne, wszystkie nasze warsztaty są bezpłatne. Robimy to z pasji i z pasją!

– Filipie, mówi się, „że co nagle to po diable", a Tobie szybkości w działaniu nie można odmówić. Czy stąd decyzja, aby pójść dalej i zaprosić miłośników psów ras myśliwskich wraz z ich pupilami na prawdziwe polowanie?

FS: – Podczas jednej z edycji tegorocznych warsztatów dla aporterów Piotr wyciągnął starannie przygotowane pomoce naukowe (zamrożone i próżniowo zapakowane rapety dzika wraz z kserokopią certyfikatu badania), po które w jednej chwili ustawiła się kolejka. Przyglądałem się temu uważnie. Tak mała i powszechnie dostępna dla nas rzecz wzbudziła nieukrywaną radość i poruszenie wśród niepolujących przewodników psów. Już wtedy zapaliła mi się lampka. Decyzję podjąłem dosłownie minutę później, gdy jedna z uczestniczek zapytała o bażanta. Postanowiłem, że sprezentuję jej zamrożoną tuszkę (zawsze mam zapas nieskubanego ptactwa do treningu) i pomyślałem, że trzeba dać tym ludziom i ich podopiecznym szansę na coś więcej. Kilka dni myślałem nad formułą, potem to już wszystko poszło z górki. Życie nauczyło mnie, że choć czasami warto wszystko na spokojnie przemyśleć, spontaniczne inicjatywy często okazują się bardzo dobre, szczególnie gdy płyną z serca.

– Zainicjowaliście i zrealizowali pierwsze takie wydarzenie w Polsce! Eksperyment się udał?

FS: – Ogromne zainteresowanie (lista uczestników zapełniła się w niecałą dobę) już na początku pokazało, że pomysł jest udany. Polowanie odbyło się w przepięknej atmosferze wymiany doświadczeń i wspólnej pracy. Niemniej widzę pole do poprawy. Po pierwsze, zmieniłbym datę polowania na nieco późniejszą, gdy bażanty trzymają się bliżej trzcin, gęstej ostoi. Po drugie, myślę, że jednak warto tworzyć grupy mieszane – niedoświadczone w polowaniu psy łączyć z tymi, które od lat polują. Ta formuła sprawdziłaby się, jak sądzę, o wiele lepiej.

PB: – Pomysł Filipa na zorganizowanie integracyjnego polowania na bażanty dla niepolujących właścicieli psów ras myśliwskich okazał się strzałem w dziesiątkę! Zainteresowanie przerosło nasze najśmielsze oczekiwania. Udział w prawdziwym, świetnie zorganizowanym i poprowadzonym polowaniu z oprawą sygnalistów, ze wspólnym posiłkiem był z pewnością dla nigdy wcześniej niepolujących uczestników wielkim przeżyciem. W tym miejscu raz jeszcze serdecznie dziękuję Filipowi, całemu Zarządowi oraz wszystkim Członkom KŁ Rolnik za pomysł i gościnę. Rozkład nie był naszym priorytetem, skupiliśmy się na bezpieczeństwie oraz wspaniałej koleżeńskiej atmosferze i to wszystko udało się osiągnąć. Na pewno termin polowania oraz ewentualna „hybrydowa" jego formuła polegająca na łączeniu psów bez doświadczenia z polującymi i doświadczonymi mogą w przyszłości przyczynić się do jeszcze większego powodzenia takich polowań.

– A jak widzicie przyszłość takich imprez?

FS: – Moim osobistym marzeniem jest, żeby nasza impreza stała się wydarzeniem cyklicznym, z co najmniej jedną edycją rocznie. A może da ona asumpt do organizowania podobnych przedsięwzięć w innych okręgach? Rozmowy z uczestnikami oraz echo, jakim akcja odbiła się w Internecie, pokazują, że taka potrzeba zdecydowanie jest. Warto dodać, że po naszych warsztatach i polowaniu co najmniej trzy osoby (o tylu wiem na pewno) rozpoczęło staż w PZŁ. A czyż nie jest wspaniałą motywacją do wstąpienia w szeregi św. Huberta chęć aktywnej pracy i polowania z psem?

PB: – Jak pisał rzymski historyk Tytus Liwiusz: „Verba docent, exempla trahunt", czyli „słowa uczą, przykłady pociągają". Zespół pasjonatów, jaki udało się zebrać we wrocławskiej Komisji Kynologicznej, pozwala nam patrzeć w przyszłość z optymizmem. Organizujemy kolejne imprezy kynologiczne dla miłośników psów, bez żadnej polityki, bez dzielenia ich na „swoich" i „obcych". Propagując szeroko rozumianą kulturę łowiecką, wychodzimy do ludzi i dajemy świadectwo, że nowoczesny myśliwy różni się od stereotypów i wizerunku rozpowszechnianego przez wrogich naszej pasji adwersarzy. Kociołki myśliwskie, którymi częstujemy uczestników naszych warsztatów (obok innych specjałów kuchni myśliwskiej), robią prawdziwą furorę. A jako że w naszej komisji jest kilku sygnalistów, zawsze na naszych imprezach gramy na rogach tradycyjne sygnały, a swoim ubiorem i zachowaniem dajemy przykład, który – mamy nadzieję – pociągnie, przyciągnie i przekona do łowiectwa nowych, wartościowych ludzi.

Rozmawiał: Jacek Seniów

Zdjęcia: Katarzyna Cieleń, Jacek Seniów, Iwona Małecka, Tomasz Stasiak

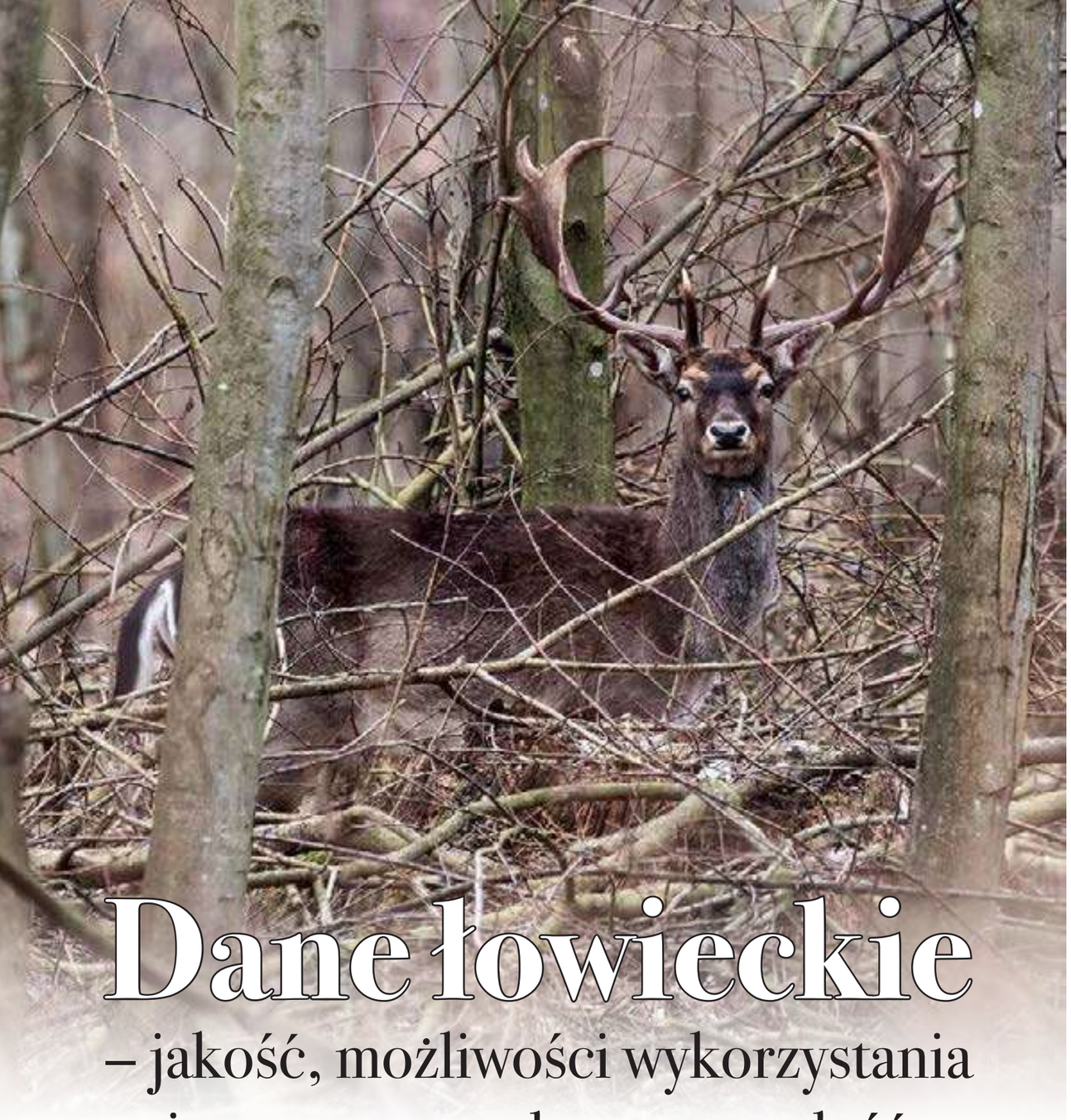

Dane łowieckie
– jakość, możliwości wykorzystania i pewne pomysły na przyszłość

Tekst: Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski
Katedra Zoologii, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu
Zdjęcia: Ryszard Adamus

Raz zobaczyć jakąś rzecz znaczy więcej niż sto razy o niej słyszeć.
Epiktet

Zostałem namówiony do przygotowania tego tekstu zapewne z racji mojej aktywności na polu analizy danych łowieckich. Muszę jednak już na jego początku dokonać pewnych, moim zdaniem znaczących, zastrzeżeń. *Primo*, zupełnie nie poluję, nie posiadam stosownych licencji i uprawnień, nie mam w zasadzie pojęcia o kulturze łowieckiej i specyficznych zwyczajach myśliwych. Czasami nawet problem dla mnie stanowi łowiecka nomenklatura, ta stosowana w miejsce naukowej, biologicznej. Na potrzeby więc tego tekstu pozostanę w obszarze, który znam znacznie lepiej, stąd proszę o zrozumienie, że w eseju pojawią się samce i samice, a nie kozy czy kozły (u innych gatunków łownych rzecz jasna ich odpowiedniki). *Secundo*, choć jak wspomniałem, nie poluję, to bardzo interesują mnie wszelkie pomysły umożliwiające zrozumienie mechanizmów funkcjonowania populacji zwierząt w środowisku. Bez zrozumienia łowiectwa, próby zarządzania populacjami wielu gatunków, a nawet poprawnego ich opisu, są w zasadzie z góry skazane na nieporozumienie. Niestety nie jest to wiedza ani powszechna, ani popularna tak wśród myśliwych, jak i wśród biologów środowiskowych. Dlatego staram się popularyzować naukową refleksję nad funkcjami łowiectwa z czysto biologicznej perspektywy, czy to w formie wykładów, czy drobnych tekstów publikowanych na łamach czasopism *Brać Łowiecka* i *Pasje*.

Jak wspomniałem wyżej, niniejszy tekst ma charakter eseju, stąd intencjonalnie zrezygnowałem z powoływania się na literaturę przedmiotu w klasyczny sposób. Jeśli już, to przywołuję klasyków, a w spisie literatury wymieniam jedynie prace, których jestem współautorem. Wszystko po to, by Czytelnik mógł sam zweryfikować mój punkt widzenia, przyjrzeć się zawiłościom analitycznym i interpretacyjnym. Wreszcie, dla szczególnie dociekliwych, to w przywołanych pracach znajdują się prawdziwe przypisy naukowe, dotyczące tak założeń i metodyki, jak i umożliwiające porównania z wynikami innych badaczy.

W przeszłości wykorzystywałem dane z różnych miejsc i o różnym charakterze pozyskania. Jednakże zdecydowanie najwięcej z nich pochodziło z terenu Stacji Badawczej PZŁ w Czempiniu. Oznacza to, że dane te były zebrane i opisane zapewne znacznie lepiej niż w przypadku innych miejsc. To także może mieć wpływ na moje specyficzne podejście do jakości danych łowieckich. Wierzę jednak, że poprzez pokazywanie wysokich standardów, wszyscy możemy na tym skorzystać. Czy to przygotowując systemy centralne zapisywania danych z łowisk, czy też starając się o możliwości ich wykorzystania we współpracy praktyków łowiectwa z osobami mającymi większe obycie w analizach danych długoterminowych, zwłaszcza tych z wykorzystaniem coraz bardziej zaawansowanych metod statystycznych.

Kilka informacji ważnych, acz momentami trywialnych

Statystyka jest bardziej sposobem myślenia lub wnioskowania niż pęczkiem recept na młócenie danych w celu odsłonięcia odpowiedzi.
C. Radhakrishna Rao

We wczesnej młodości wśród wielu innych przeczytałem dość zaskakującą dla młodego adepta ornitologii książkę, która, mam wrażenie, znacząco wpłynęła na kilka moich życiowych decyzji i postaw. Była to *Rzecz o myślistwie. Za i przeciw* Heriberta Kalchreutera. Poza tym, że autor starał się pokazać skomplikowaną materię łowiectwa i jego oceny, to dotykał innej ważnej rzeczy. Tego, że po prostu raz pewnych gatunków jest więcej, a innym razem mniej. To proste stwierdzenie ma fundamentalne znaczenie tak dla łowiectwa, jak i dla ekologii. Na populacje wpływa wiele czynników zewnętrznych, od warunków klimatycznych, poprzez zasoby pokarmowe, aż po interakcje – pozyskanie, płoszenie – z człowiekiem. To jednak nie wszystko. Wiemy bowiem coraz lepiej, że funkcjonowanie populacji zależne jest od zagęszczenia, a więc miary liczebności populacji w stosunku do jednostki powierzchni. Między innymi, liczebność populacji pozwala wykorzystywać organizmy żywe do monitorowania stanu jakości środowiska, oceny skuteczności metod stosowanych w ochronie przyrody, jak i do testowania ciekawych teoretycznych rozważań dotyczących zależności ekologicznych pomiędzy różnymi grupami organizmów, np. w relacjach drapieżca – ofiara, pasożyt – żywiciel. Na podstawie zmian liczebności organizmów żywych w czasie i przestrzeni wnioskuje się o sile i kierunkach działania czynników ekologicznych i ewolucyjnych. Wreszcie na ich podstawie decyduje się, czy na dany gatunek powinno się polować, czy może wciągnąć go na listę zwierząt ściśle chronionych, ale też przewidywać możliwości pozyskania. Ile osobników i jakich, gdzie i kiedy odstrzelić. Tak to powinno działać w teorii, proza życia wskazuje, że więcej w zarządzaniu populacjami emocji, niż odwoływania się do klasyki ekologii populacji.

Dlaczego tak się dzieje? Poza emocjami jest to związane ze złożonością świata i zwykłymi, obiektywnymi trudnościami związanymi z możliwościami

policzenia zwierząt. Poniżej przedstawiam kilka podstawowych zagadnień dotyczących ustalania liczebności zwierząt. Ze względów socjologicznych daruję sobie wytykanie błędnych prac i wykorzystywanych metod. Raczej ograniczam się do wskazania problemu ogólnego, propozycji jego potencjalnych rozwiązań i dyskusji szerzej stosowanych nowych metod.

Przyczyny błędów w ustalaniu liczebności populacji

Myśliwi, ale i ekolodzy ustalający liczebność populacji (bądź najczęściej jej miarę – indeks wielkości populacji), mogą popełnić szereg błędów. Wynikają one z przeszacowania, bądź niedoszacowania liczby osobników na badanym terenie. Najczęściej błędy te mają źródła w złym zaplanowaniu badań, nieznajomości biologii badanego gatunku czy przeszacowaniu własnych możliwości – dostępnych sił i środków. Jednak nawet gdy gatunek jest dobrze znany, a badania dobrze zaprojektowane pozostają błędy związane ze zbytnim zaufaniem do stosowanych metod, a przede wszystkim z niebezpiecznym utożsamianiem wyników liczeń z rzeczywistą liczebnością populacji.

Podstawy teoretyczne

Bardzo przepraszam, ale tutaj zamieszczam parę wzorów. Wiem, że to odstrasza od lektury, ale naprawdę czasami warto bliżej przedstawić istotę naszych dociekań. Jak wspomniałem wyżej, a co potwierdza praktyka i sprzeczki w prasie i na łamach czasopism naukowych, ustalanie liczebności populacji w terenie zawsze obarczone jest błędem. Na podstawie częstotliwości spotykanych osobników, wielkości stad, liczby gniazd czy osobników przebiegających przez linię transektu ustalamy liczebność populacji. Jednak tak naprawdę wartością (miarą), którą uzyskujemy jest pewien wskaźnik liczebności (C). Ten jednak zależy zarówno od liczebności rzeczywistej populacji (N), jak i prawdopodobieństwa wykrycia osobników/gatunków w trakcie prac badawczych (p). Stąd równanie opisujące tę zależność ma prostą postać:

$$(1)\ C = Np,$$

Wtedy, gdy $p < 1$ i/lub zmienia się między kolejnymi liczeniami (cenzusami), ustalając rzeczywistą liczbę osobników (N), należy pamiętać, że wskaźnik C powinien być poprawiony o wartość p, wg wzoru:

$$(2)\ N = C/p.$$

Jednak w wielu badaniach ekologicznych jako liczebność populacji traktowane są wyniki liczenia. Pozostawiając z boku kwestię sensowności liczenia wszystkiego, co się rusza, należy przyjąć do wiadomości, że tak naprawdę jest to, w uproszczeniu, wskaźnik C z równań (1) i (2). Podobnie nieuwzględniający różnic w prawdopodobieństwie wykrycia osobników/gatunków między kontrolami (cenzusami liczebności). W literaturze ekologicznej wskaźnik ten wykorzystuje się też do obliczania miary przeżywalności, czasem nazywanego wskaźnikiem powracalności (ang. *return rates*) i jako wskaźnik liczby gatunków, przy (ukrytym) założeniu, że bezbłędnie wykrywa się wszystkie osobniki/gatunki.

Dlaczego wskaźniki względne mają ograniczone zastosowanie?

Zatem korzystanie w określaniu liczebności populacji i jej parametrów demograficznych ze wskaźników liczebności, zapominając (nie chcąc uwzględniać z braku wiedzy, bądź wygody) o różnicach w prawdopodobieństwie wykrycia, prowadzi do niewłaściwych wniosków i ich ekologicznych interpretacji.

Dla zilustrowania problemu warto wyobrazić sobie prosty przykład. By uniknąć przywoływania gatunków spornych – łosia, niedźwiedzia czy wilka, sięgam po wymyślony (nieistniejący, choć głowy nie dam!) gatunek nie stanowiący zainteresowania myśliwych – żabę osobliwą *Rana admirabilis*. W dwóch kolejnych latach (do wyboru – dniach, miesiącach) liczono żaby na ogrodzonej kwadratowej powierzchni. Wynik badania przy zastosowaniu wskaźnika liczebności – liczby odnotowanych na powierzchni osobników – daje obraz diametralnie różny od liczebności rzeczywistej. Jak zatem porównywać i interpretować dwa (lub więcej) wyniki badań ilościowych? Powyższy przykład jest i tak sporą idealizacją, gdyż czasem korzysta się z danych zebranych przy użyciu różnych metod ustalania liczebności. Przykładem łączenia wyników uzyskanych przy pomocy różnych metod jest szereg prac obrazujących długoterminowe zmiany liczebności zwierząt. Metody bowiem, jak wiele innych rzeczy, zmieniały się i nadal się zmieniają. Czy można sobie pozwolić (nie pozwolić?) na skorzystanie z wcześniej zebranych danych? Przy pewnej ostrożności można to z powodzeniem robić i mamy w literaturze przedmiotu, nawet w podręcznikach, sporo takich przykładów. Natomiast warto przypomnieć raz jeszcze, że wskaźnik liczebności populacji jest wynikiem oddziaływania dwóch zmiennych: rzeczywistej wielkości populacji (N) i prawdopodobieństwa wykrycia (p) (równanie 1). Zatem porównanie dwóch wskaźników liczebności, C1 i C2, ma ogólną postać:

$$(2)\ C_1/C2 = N_1p_1/N_2p_2.$$

Stąd też, jeśli $C_1 \neq C_2$ to nie możemy wnioskować, czy populacje różniły się N, p, czy oboma parametrami. A z tej nierówności (potencjalnej) płyną konkretne ekologiczne wnioski. Na przykład C_1 i C_2 są indeksami liczebności populacji w kolejnych latach. Zatem jeśli $C_1 > C_2$ to oznaczać to może zarówno spadek liczebności w drugim roku, jak też zmniejszenie

wykrywalności w drugim roku (jak i obie rzeczy równocześnie). Co więcej, jest także możliwe, że gdy C1 = C_2, N1 ≠ N_2, a nawet przy $C_1 > C_2$, $N_1 < N_2$ (więcej szczegółów znajdziemy w książkach o modelowaniu dynamiki populacji).

Problem ten zdaje się być szeroko ignorowany. Dzieje się tak głównie dlatego, że to wartość N i jej zmiany są wartościami biologicznymi, natomiast p jest raczej obiektem zainteresowania statystyków. Jednak bez przyjrzenia się pozabiologicznym źródłom zmienności trudno o satysfakcjonujące rozwiązania ekologiczne.

Jak poprawić wyniki liczeń o prawdopodobieństwo wykrycia?

Chyba nie ma myśliwego i ekologa (mam nadzieję), który zakłada, że wykrył absolutnie wszystkie osobniki tworzące populację, albo że odkrył absolutnie wszystkie populacje wszystkich gatunków zamieszkujących dany teren. Badacze najczęściej radzą sobie z problemem różnic w wykrywalności na dwa sposoby. Pierwszy, najprostszy, zbagatelizowanie problemu. Można założyć, że popełniane błędy są minimalne i nie mają wpływu na istotę prowadzenia badań. Takie założenie może mieć realistyczne podstawy w przypadku łatwo wykrywalnych, raczej stosunkowo nielicznych gatunków. Dobrym przykładem jest bocian biały *Ciconia ciconia* czy rzadkie gatunki dużych ptaków drapieżnych. W obu przypadkach ustalenie rzeczywistej wielkości populacji i sukcesu rozrodczego przy stosowaniu odpowiedniej metodyki nie stanowi większego problemu. Zbliżonym podejściem jest wykorzystywanie w badaniach ilościowych tzw. metod bezwzględnych, które dają obraz liczebności zbliżony do rzeczywistego, np. metoda kartograficzna stosowana w ornitologii. Niestety problemem jest ogromna czaso- i kosztochłonność metod bezwzględnych. Stąd też nie bardzo nadają się one do wykorzystania w większych skalach czasowych i przestrzennych. W przypadku posiadających duże terytoria, przemieszczających się na spore odległości ssaków, a jeszcze charakteryzujących się najczęściej nocnym trybem życia, zapomnijmy o takim podejściu. Trzeba podejść do sprawy inaczej.

Istnieje bardziej ogólne rozwiązanie – uwzględnienie faktu, że $p < 1$ w badaniach prowadzonych przy użyciu standardowych metod. Częstą taktyką standaryzacji jest takie zaplanowanie obserwacji, by *p* było stałe w czasie i przestrzeni, a tym samym współczynnik liczebności C oddawał wartość rzeczywistą liczebności N. Na postawie doświadczeń znajomości biologii gatunku, terenu badań i metodyki liczeń należy zdiagnozować czynniki wpływające na prawdopodobieństwo wykrycia (policzenia) interesującego gatunku. Następnie podejmuje się próby eliminacji w terenie i/lub podczas analizy statystycznej. Jednak standaryzacja jest zwykle dobrym wyjściem, ale niestety, nie zawsze możliwym do wykonania. Na przykład, nie da się prosto modelować wpływu warunków pogodowych czy też trudno interpretować stare dane, gdy nie żyje już osoba, która je zbierała i nie wszystkie subtelności metodyczne zostały dobrze opisane. Pozostają też ważne kwestie psychologiczne – otóż autorzy są bardzo przywiązani do własnych wersji metod badawczych i stąd bardzo trudno reformowalni.

Obecnie za standard uznaje się metody odłowu, znakowania i ponownego odłowu. Zwierzę otrzymuje specjalną obrożę z nadajnikiem, znaczek, obrączkę czy inny rodzaj oznakowania. Metody te uwzględniają m.in. zmieniające się prawdopodobieństwo stwierdzenia i schwytania w czasie kolejnych odłowów. Nie dziwi więc, że są wskazywane jako panaceum na dręczące ekologów problemy związane z ustalaniem liczebności populacji. Niestety metody te też mają ograniczenia, zarówno ze strony teorii, jak i praktyki badawczej. W praktyce z odłowem wcześniej oznakowanego osobnika bywa różnie. A najwięcej informacji, łącznie z dokładnymi pomiarami biometrycznymi możemy uzyskać wyłącznie wtedy, gdy zwierzę zostało zabite. To jest zresztą rzecz, do której namawiam. Znaczy nie do zabijania, a do lepszej eksploracji odstrzelonych osobników. Przyglądaniu się biometrii – pomiarom masy, wielkości – pozyskanych zwierząt. Stąd krok od możliwości dyskusji o kondycji, tak indywidualnej, jak i w skali populacji lokalnej. Warto listę problemów jeszcze uzupełnić o trudności w odłowie wielu gatunków, etycznych zastrzeżeniach związanych z metodami odłowu i znakowania, z klasycznym już przykładem z badań pokazujących, że niebadane intensywnie populacje przeżywają lepiej. Samego aspektu znakowania dotyczy też problem teoretyczny. Jest nim ciche założenie, że nieznakowane i znakowane osobniki przeżywają w sposób nieróżniący się istotnie pomiędzy sobą. Jest to niestety założenie mało realistyczne, gdyż dobrze wiadomo, że znakowanie ma wpływ na przeżywalność, rozrodczość, a nawet dobór płciowy.

Komputery potrafią wiele, ale…

– Dane, dane, dane! – wołał niecierpliwie.
– Nie mogę lepić cegieł nie mając gliny.
A. Conan Doyle

Pesymista powiedziałby, że przy tylu zastrzeżeniach do podstaw metodyki badań ilościowych w ogóle nie warto się nimi zajmować, bo stale powtarza się zbyt wielkie błędy. Optymista machnąłby na wszystko ręką i kazał spojrzeć w podręcznikowe przykłady. Choć wyniki obarczone są szeregiem błędów podczas zbierania danych terenowych, to całość działa i daje poprawny obraz rzeczywistości. Realista pragmatyk raczej wskazałby na potrzebę krytycznego (!) korzystania z posiadanych danych. Dotyczy to zwłaszcza gatunków, o których posiadamy serie liczeń z wielu lat. Podnoszono już problem ich niereprezentatywności. Tak jest także wtedy, gdy korzysta się z danych zbieranych przez myśliwych czy rybaków. Prawdą jest jednak, że niektóre z zebranych materiałów można dość dobrze interpretować, gdy weźmie się pod uwagę zmienne współtowarzyszące, takie jak liczba obserwatorów dostarczających materiały do badań, zmienność warunków ekonomicznych i politycznych. Analitycy wskazują jednak, że problem jest relatywnie łatwy do znalezienia i rozwiązania, gdy dotyczy gatunków łatwo wykrywalnych o dużym znaczeniu dla gospodarki.

Wyniki pochodzące z cenzusów liczebności populacji są podstawą ocen i prognozowań stosowanych w ochronie przyrody, nie wyłączając tych opierających się na wykorzystywaniu parametrów demograficznych i prognozujących możliwość przetrwania populacji do określonego punktu czasu (tzw. *population viability analysis*). Metody te, choć uwzględniają wiele parametrów stochastycznych, nie uwzględniają jednak nieprecyzyjnej miary wielkości populacji początkowej.

Warto też zwrócić uwagę, że klasyczny ekolog jest zainteresowany ustaleniem liczebności *per se*, co innego myśliwi. Ekolog raczej próbuje zrozumieć zmienność liczebności populacji w czasie i przestrzeni i zależności od różnych czynników, zmiennych objaśniających. Zatem, zbierając dane ekologiczne przy pomocy metod ilościowych pracujemy tylko nad jedną stroną równania. Czyli nawet gdybyśmy w najlepszy z możliwych sposobów policzyli zwierzęta na powierzchni badawczej lub w łowisku, to przy niedokładnych danych meteorologicznych czy o strukturze roślinności, wiele z naszych prognoz o ich wpływie na liczebność niewiele się różni od wróżenia z fusów. Czas i pomyśleć nad tymi zagadnieniami, których nie zmieni dyskusja o najlepszych metodach statystycznych i wykorzystaniu skomplikowanych analiz wielowymiarowych.

I na koniec…

Konkluzja i przesłanie z przedstawionych faktów są dość trywialne. Dla zrozumienia procesów ekologicznych, zmian liczebności i wzorców rozmieszczenia organizmów w czasie i przestrzeni potrzebne są wyniki realnych badań terenowych. Nie zastąpią ich najbardziej wyrafinowane komputerowe modele. Jednak jedne i drugie powinny korzystać z własnych doświadczeń. Jest coraz więcej przykładów takiej dobrej współpracy ekologów populacji – praktyków terenowych i teoretyków. Czas jednak, by stało się to praktyką powszechną, także jeśli chodzi o poznanie sytuacji gatunków łownych. Bowiem tylko wtedy, gdy zrozumie się czynniki wpływające na liczebność populacji (przy pomocy właściwych metod), można je skutecznie chronić i eksploatować.

Tekst był publikowany w książce „Ekologia łowiecka" pod redakcją prof. dra hab. Dariusza Gwiazdowicza.

Literatura

Współautorom prac jestem wdzięczny za wskazanie na możliwości drzemiące w danych łowieckich.
Dobrze pracować z fachowcami. Dziękuję!

Demuth, J., Hromada, M., Krawczyk, A. J., Malecha, A. W., Tobolka, M., & Tryjanowski, P. (2009). Cranial lesions caused by helminth parasites and morphological traits in the European polecat Mustela putorius.
Helminthologia, 46, 85-89.

Hušek, J., Panek, M., & Tryjanowski, P. (2014). Long-term trends and correlates of antler anomalies in roe deer. Journal of Wildlife Management, 78, 1486-1491.

Kamieniarz, R., Jankowiak, Ł., Fratczak, M., Panek, M., Wojtczak, J., & Tryjanowski, P. (2020). The relationship between hunting methods and the sex, age and body mass of wild boar Sus scrofa. Animals, 10, 2345.

Krawczyk, A. J., Malecha, A. W., & Tryjanowski, P. (2011). Is baculum size dependent on the condition of males in the polecat Mustela putorius? Folia Zoologica, 60, 247-252.

Mysterud, A., Tryjanowski, P., & Panek, M. (2006). Selectivity of harvesting differs between local and foreign roe deer hunters: trophy stalkers have the first shot at the right place. Biology Letters, 2, 632-635.

Mysterud, A., Tryjanowski, P., Panek, M., Pettorelli, N., & Stenseth, N. C. (2007). Inter-specific synchrony of two contrasting ungulates: wild boar (Sus scrofa) and roe deer (Capreolus capreolus). Oecologia, 151, 232-239.

Takacs, V., Zduniak, P., Panek, M., & Tryjanowski, P. (2009). Does handling reduce the winter body mass of the European hare? Open Life Sciences, 4, 427-433.

Tryjanowski, P., Antczak, M., Hromada, M., Kuczyński, L., & Skoracki, M. (2002). Winter feeding ecology of male and female European wildcatsFelis silvestris in Slovakia. Zeitschrift für Jagdwissenschaft, 48, 49-54.

Tryjanowskl, P., Panek, M., Karg, J., Szumacher-Strabel, M., CieśLak, A., & Ciach, M. (2017). Long-term changes in the quantity and quality of supplementary feeding of wildlife: are influenced by game managers?
Folia Zoologica, 66, 248-253.

Tryjanowski, P., Sparks, T. H., Kamieniarz, R., & Panek, M. (2009). The relationship between hunting methods and sex, age and body weight in a non-trophy animal, the red fox. Wildlife Research, 36, 106-109.

Jak to z relikwiami św. Huberta było...

Tekst: Ks. Witold Hyla
kapelan myśliwych i leśników archidiecezji wrocławskiej
Zdjęcie: Radosław Boczar

Kościół we Wrocławiu na Klecinie od wielu lat jest miejscem spotkań i modlitwy myśliwych i leśników. Tu zawierają sakramenty małżeństwa, podają dzieci do chrztu, żegnają tych, którzy odeszli do wieczności, przyjeżdżają na pasterkę i oktawę Bożego Ciała. Czują się jak u siebie pod opieką swego kapelana. W tej świątyni przygotowywana jest wyjątkowa szopka i znajduje się też zabytkowa figura św. Huberta. Od 23 czerwca 2022 roku kościół NMP Królowej Polski jest miejscem przechowywania relikwii św. Huberta, które zostały uroczyście wprowadzone w obecności Kapelana Krajowego PZŁ, przedstawicieli Zakonu Bożogrobców i Zakonu Św. Huberta, licznie zgromadzonych myśliwych oraz sympatyków łowiectwa. Wręcz niewiarygodna była droga tych relikwii z Holandii na Klecinę.

Z przeznaczonego do rozbiórki kościoła pod wezwaniem św. Huberta w pewnej holenderskiej miejscowości polscy kapłani przywozili do swych parafii części jego wyposażenia, by ocalić je przed zniszczeniem. Do parafii w Jaroszowie na Dolnym Śląsku trafił ołtarz. W czasie jego przeróbki natrafiono na ołowianą kasetę oplecioną jedwabną taśmą z biskupimi pieczęciami. Okazało się, że wewnątrz są trzy małe pakieciki z relikwiami. Były to relikwie św. Korneliusza i św. Piusa X. Trzeci pakunek nie był, niestety, dobrze opisany... Po pewnym czasie z Holandii przyszedł list od ostatniego opiekuna likwidowanego kościoła – mężczyzna informował, że w trzecim pakieciku znajdują się relikwie św. Huberta i on – jako imiennik świętego – prosi o ich zwrot. Proboszcz, który wszedł w posiadanie tychże precjozów, uważał jednak, że najlepszym miejscem dla tego świętego będzie świątnia, w której spotykają się myśliwi. Poprosił więc wrocławskiego kapelana myśliwych o radę, jak ma postąpić. W odpowiedzi usłyszał: „Módlmy się do św. Huberta i czekajmy". Po kilkunastu miesiącach z Holandii przyszedł kolejny list, informujący o śmierci byłego opiekuna kościoła (był to mężczyzna już w podeszłym wieku). Tym razem jego żona prosiła o zwrot relikwii. I znów kapelan poradził, by modlić się do św. Huberta i czekać. Po pewnym czasie umarła także kobieta, a jej spadkobiercy doszli do przekonania, że relikwie świętego powinny jednak trafić do Wrocławia, gdzie św. Hubert od wielu lat odbierał cześć, także przy figurze Jemu poświęconej.

I tak oto nasz Święty Patron okazał swoją skuteczność w działaniu nie tylko w kniei, ale i w Kościele.

Z braterskim pozdrowieniem:
Darz Bór!

Guide sensmart
www.guideir.com.pl

MONOKULARY GUIDE
TD410 / TD420 / TD430

Detekcja do: **2800 m**
Odświeżenie: **50 Hz**
Rozdzielczość detektora: **400x300**
Wyświetlacz: **1280x960**
Ogniskowa obiektywu:
19 mm / 25 mm / 35 mm

KNIEJA
www.knieja.com.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR NA TERENIE POLSKI:
KNIEJA SP. Z O.O.
Kraków, Aleja Daszyńskiego 32/19, tel. 12 421 82 33

Knieja Kraków
/knieja_krakow

fci.be

zkwp.pl

Pies rasowy twoją i naszą pasją

od 85 lat